Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 14 V 19 60 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 15. V. 1960 r.
Nr 19 (115)
Cena 1 zł

ROMANS
z cyklu
młodość, miłość, awantura

Przedstawiamy bohaterów:

Miazga

poeta buntowniczy na skalę wojewódzkiego miasta z przyległościami. Wódz stronnictwa demokratów w szkole. Odważny, nie boi się pana Boga.

Socjalista

zastępca wodza demokratów, jedyny człowiek w liceum, który czytał podobno „Kapitał" Marksa, ale bez większego skutku.

Justyn

przyszły generał, demokrata.

ŻEGLARZE Z MIASTA ŁODZI – str. 3

Dziś w numerze:

- Bogusław Holub – PACZKA „SPRAWIEDLIWYCH"
- Nasza szkółka PRAWDA - NIEPRAWDA
- Wanda Falkowska – MORDERCA POZOSTAŁ NIEZNANY
- Łodzianie 1960 „TU MÓWI ŁÓDŹ"

Ogłaszając w poprzednim numerze felieton Zbigniewa Chylińskiego pt. „Zagadki sportu" otworzyliśmy nasze łamy dla dyskusji na ten temat. Chodzi nam w tej dyskusji o wytłumaczenie takich zjawisk jak:

1. Powszechna pasja kibicowska.
2. Niezmienna atrakcyjność widowisk sportu wyczynowego.
3. Dysproporcja między stroną widowiskowo-wyczynową sportu a kulturą fizyczną społeczeństwa.
4. Pozorny anachronizm kultury fizycznej na tle kultury technicznej itp.

Oczywiście, w rubryce „Zagadki sportu" ma prawo zabrać głos każdy nasz Czytelnik, do czego niniejszym serdecznie zapraszamy.

Równocześnie zwróciliśmy się do szeregu pisarzy, dziennikarzy i działaczy z ankietą zawierającą trzy pytania i będącą propozycją płaszczyzny rozważań a nie jej ograniczeniem.

OTO PYTANIA ANKIETY:

1 **Jak wytłumaczyć fakt, że polegający nie tyle na walorach estetycznych, co na grze, hazardzie i rywalizacji (a więc przesłankach irracjonalnych) sport wyczynowy jest najbardziej umiłowaną formą widowiska w wieku atomu i rakiet kosmicznych?**

2 **Cywilizacja współczesna zmierza do eliminacji pracy mięśni i wysiłku fizycznego. Nota bene jest to eliminacja czynności racjonalnych, celowych na rzecz bardziej racjonalnych i celowych. Sport tę pracę mięśni i wysiłek fizyczny kultywuje. Notabene jest to kultywacja czynności bezcelowych. Czy nie zachodzi tu jakaś godna rozszyfrowania sprzeczność?**

3 **Czy samoobrona ludzka przed degeneracją mięśni, będącą skutkiem postępu cywilizacyjnego, ma sens wobec „kolosalnej przyszłości myślenia"?**

Wypowiedź Zbigniewa Chylińskiego była rozwinięciem tych pytań.

Otrzymaliśmy pierwsze odpowiedzi w naszej dyskusji — ankiecie. Dziś oddajemy głos Wojciechowi Giełżyńskiemu.

(Patrz str. 2)

O młodzieży piszemy na str. 7

Fot. H. Kozakow

Chorwat

bogacz, bankier obozu demokratów.

Dzik

poeta i plagiator, nogi umył pierwszy raz dopiero po maturze. Demokrata.

Tracz

doświadczony w sprawach miłosnych. Łysieje. Demokrata.

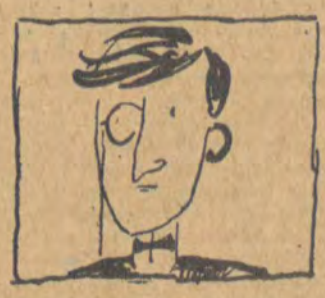

Książę

poeta nowoczesny, wódz szkolnej arystokracji. Zakochany.

Buczacki

arystokrata, czarny charakter.

?

Dalszy ciąg na str. 9

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

KOLPORTER istota zbyteczna?

W ZPW im. Waryńskiego zatrzymuję przechodzącą koło mnie młodą kobietę. Pytam, ją, gdzie można znaleźć zakładowego kolportera.

— Kol. co? — pyta.

— Kolportera, takiego co sprzedaje książki — wyjaśniam.

Spogląda na mnie wzrokiem pełnym zdumienia. Uciekam prędko, z niemiłym uczuciem człowieka, który popełnił gaffę. Zatrzymuję się dopiero w lokalu rady zakładowej. Już nie bez wewnętrznych oporów pytam o dziwną, egzotyczną odmianę człowieka zwaną kolporterem. Jeden z członków rady niezbyt chętnie udziela mi informacji widać, że ten temat nie należy do jego ulubionych.

— A pani do czego to potrzebne? Do „Odgłosów"? A, już wiem to takie dwanaście stron za 1 zł. — Tak, jest u nas kolporter, ale od miesiąca go nie ma. Może choruje?

Wreszcie mój rozmówca bierze do ręki słuchawkę telefoniczną i łączy się z personalnym Okazuje się, że kolportera zwolniono z pracy.

— No i co dalej? — pytam. — Będziecie się starać o nowego kolportera?

Macha ręką.

— Co to, to już nie. To już drugi taki wypadek z kolporterem.

— Może wybieracie nieodpowiednich ludzi? — podsuwam nieśmiało.

— Eee, nigdy nie wiadomo. Człowiek ma zaufanie, a oni... — powtórnie macha ręką.

— A czy było widać, że kolporter pracuje? Czy miał tu chociaż jakąś gablotkę z książkami, żeby wszyscy widzieli? — pytam wytrwale.

— A, była taka gablotka — wskazuje na podwórze — ale zlikwidowana jest, w związku z Pierwszym Majem.

— Czy nie sądzi pan, że u was w zakładach kolporter jest właściwie zbyteczny? — mówię podstępnie.

Mój rozmówca ożywia się.

— A właśnie, nie jest potrzebny. Mamy bibliotekę. A kolporterzy po to sprzedają, żeby zarobić.

— Dużo im za to płacą?

— Zdaje się, że mają 10 proc — mówi niechętnie.

Żegnam się i wychodzę. Krążę po zakładach w różnych kierunkach zaczepiam napotkanych ludzi, pytam o bibliotekę. Niestety, dziesięć zapytanych osób nie wiedziało, gdzie się mieści miejscowy przybytek literatury. Ostatnia z nich poradziła mi udać się do biura i tam pytać. Nie poszłam jednak. Zrezygnowałam z odwiedzin w bibliotece.

KUP PANI, KUP!

Byłam kiedyś na odpuście w małym miasteczku. Wśród tłumów ludzi kręcili się sprzedawcy gipsowych zwierzaków i innych przedmiotów niezbędnych ludziom. Jeden ze sprzedawców był wyjątkowo uparty. Biegł za jakąś kobietą, która prowadziła za rękę dziewczynkę i namawiał gorąco: „Kup pani, kup! Dla dziecka! Nadzwyczajne przygody na morzu! O pięknych królewnach i królewiczach w zamku! Za jedne dziesięć złotych! Czego tam nie ma! Kolorowe obrazki! Kup pani, kup!"

Pod pachą trzymał kilka książek o dość zniszczonych oprawach, a jedną z nich wymachiwał przed oczami dziewczynki. Kobieta z początku nie zwracała na niego uwagi. Ale dziewczynka spojrzała nagle łakomie na kolorowe malowidło okładki i wrzasnęła: „Kup mamo, kup!" I mama kupiła za 10 złotych „Niezwykłe przygody Sindbada Żeglarza". Człowiek, który je sprzedał, był dobrym kolporterem. Wiedział jak zainteresować książką. Można powiedzieć — umiał wyzyskać słabostki odbiorcy. Takimi środkami gardzić nie należy. Właściciele przedsiębiorstw, jak wiadomo, wydają ogromne sumy na reklamę, rozumując że im się to opłaci. Agencje reklamowe przyczyniają się do sprzedaży choć same nie sprzedają, starając się poznać i wykorzystać upodobania odbiorców. Oczywiście korzyści uzyskanych ze sprzedaży książek nie można traktować w kategoriach czysto materialnych. Dlatego też zainteresowany w tej akcji powinien być nie tylko „Dom Książki", ale i czynniki zajmujące się upowszechnianiem kultury.

A kolporter? On musi się stać przede wszystkim propagatorem książki. Sprzedaż powinna być wynikiem przeprowadzonej przez niego akcji. Za najwybitniejszego kolportera uważam Bova, który sam książek nie sprzedawał, ale przyczyniał się do masowego ich kupowania.

PRZYPADKOWI ZNAJOMI I SERDECZNI PRZYJACIELE

Jaka jest różnica między książką, wypożyczoną z biblioteki, a książką kupioną na własność? Taka, jak między przypadkowym znajomym i serdecznym przyjacielem.

Nie ilość przeczytanych książek świadczy o tym, że spełniły one swoje zadanie, że obudziły sentyment do li-

(Dokończenie na str. 11)

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BODZIEC CZY ŻĄDŁO SKORPIONA?

„W cieniu widowisk, w których role powierzone są wyczynowcom, propaguje się powszechne uprawianie sportu. I wyczynowość propagandzie tej niewątpliwie służy" — pisze Zbigniew Chyliński, otwierając dyskusję o psychogenezie sportu.

Moim zdaniem jest zgoła odwrotnie. Poważę się bronić tezy najzupełniej przeciwstawnej: wyczynowość w dobie dzisiejszej stanowi **niewątpliwie** barierę dla rozwoju sportu masowego.

Wywód ten przeprowadzę z ciężkim sercem. O ile bowiem uda mi się dowieść słuszności mego poglądu, jedynym logicznym wnioskiem będzie rozwiązanie — a przynajmniej ogromne zredukowanie zakresu działania — GKKFiT i szeregu innych instytucji, w które obrosła ta irracjonalna gałąź ludzkiej aktywności. Zastrzegam, iż bynajmniej nie jestem przeciwnikiem sportowego wyczynu. Sądzę, że z niemniejszym niż Zbigniew Chyliński entuzjazmem dzielę,mnożę i dodaję sekundy naszych dzielnych kolarzy. Przepadam za oglądaniem meczów hokeja i koszykówki. Wreszcie — last not least — zdarzyło mi się samemu być mistrzem i reprezentantem Polski w pewnej dziedzinie sportu, która acz nie jest najbardziej popularna, uchodzi jednak za najcięższą.

Chyliński nader słusznie odkrył, że w sporcie ruch sam w sobie nie jest zasadniczą przyjemnością, a tylko gra, hazard i rywalizacja.

Co prawda, i to stwierdzenie popieram tylko w trzech czwartych. Imałem się kolejno niemal wszystkich dziedzin sportu i uważam, że istnieją takie, których samo już uprawianie daje fizyczną i psychiczną satysfakcję. Zaliczam tu pływanie, zjeżdżanie na nartach (pod warunkiem, że nie trzeba potem podchodzić do góry) oraz grę w tenisa Oczywiście jest to kwestią gustów indywidualnych i teoretycznie nie wykluczam, że ktoś inny może przepadać za podnoszeniem ciężarów, biciem po zębach w kwadracie ringu lub bieganiem na 42 195 metrów. Dla mnie osobiście przyjemności te są bardzo wątpliwej natury.

Cóż więc skłania ludzi do uprawiania dyscyplin, które „same w sobie" nie dają mięśniowej satysfakcji, a nawet powodują przykre zmęczenie, niekiedy absolutne „wykończenie" lub po prostu ból? Oczywiście chęć zwycięstwa. Na szczeblu podwórka, klasy, klubu, powiatu, województwa, kraju, Olimpiady. Odkąd ludzie nie mogą bezkarnie siekać się toporami co musiało zapewne dawać jakąś przyjemność siekącym (choć nie siekanym), ich żądza dominowania nad rywalami (kto wie, czy nie i a ona czegoś wspólnego z odkryciami Freuda?) przybrała bardziej wysublimowane formy. Nie mniej jednak mechanizm tej pasji jest od tysiącleci identyczny: chcę być lepszy od innych. Zastanawia przy tym fakt, że granicą tej sportowej ambicji jest dopiero Kosmos. Nie ma — i być nie może — sportowca, który jako swe szczytowe i ostateczne marzenie wyznacza np. mistrzostwo powiatu. Każdy, kto to osiągnie, myśli o mistrzostwie województwa, ale w głębi duszy finałem, ostatecznym wyznacznikiem, determinantą sportowej ambicji — jest mistrzostwo świata. Być może podbój przestrzeni międzyplanetarnych stworzy i w tej dziedzinie nowe tęsknoty...

Ustaliliśmy więc, że decydującym motorem sportu jest chęć zwyciężania. Możemy chyba na boku zostawić nieliczne wypadki, gdy — powiedzmy — panna Zuza chodzi na pływalnię „dla linii", a pan Kleofas tenisem leczy zaburzenia hormonalne i ogólnie złą przemianę materii. Pomińmy też wczasowych narciarzy i wycieczkowych siatkarzy przez sznurek między drzewami.

Chociaż, i tu warto uczynić małą dygresję o zupełnie kapitalnym znaczeniu. Czy to się planistom od „fizkultury" podoba, czy nie, bez porównania więcej zwolenników posiada i zawsze posiadać będzie zjeżdżanie na nartach, niż bieganie na nartach, pływanie — niż ściganie się na przełaj oraz żeglarstwo — niż podnoszenie sztangi z żelaznymi kręgami. Stąd wielkim nieporozumieniem (mówiąc łagodnie), a raczej stratą czasu i pieniędzy są szerokie akcje propagujące „narciarstwo nizinne" lub „biegi narodowe". To tak, jakby namawiać teatromana na chodzenie do cyrku, „bo cyrk jest widowiskiem masowym i ludowym".

Oczyściwszy pole do zasadniczej dyskusji, formułuję raz jeszcze punkt wyjścia, z którego zamierzam kwestionować tezę Chylińskiego o bodźcowym działaniu sportu wyczynowego na sport masowy: istotą sportu jest rywalizacja. Ona to, wyrażona w walce o każdy centymetr, skłania ludzi np. do absurdalnej czynności wypychania kuli, co „samo w sobie" nie stanowi żadnej rozkoszy. Nie ma, jak sądzę, na całym świecie maniaka, który nie zaprzestałby rzucania kulą, gdyby przez dłuższy okres czasu uzyskiwał wyniki w granicach 6 metrów.

Jeszcze stosunkowo niedawno — dziesięć, piętnaście lat temu — każdy dobrze zbudowany i zdrowy człowiek, nie żaden tytan, mógł przy odpowiedniej dawce treningu (np. trzy razy w tygodniu) osiągnąć wyniki mistrzowskie. A przynajmniej miał na to hipotetyczną, lecz realną szansę. Zdawał sobie sprawę, że nie rezygnując z życiowych ambicji — np. zawodowych lub naukowych, może, poświęcając inne, kolidujące ze sportem atrakcje, sięgnąć po najwyższe nawet laury. Wtedy jeszcze sport wyczynowy **istotnie** był propagatorem powszechności sportu, kształtował ambicję dorównania i wyprzedzenia, pchał ludzi na boiska.

Od czasów „zatopkowych" sytuacja uległa radykalnej zmianie i to we wszystkich niemal dyscyplinach. Bóg bieżni Zatopek stał się grabarzem masowości sportu. Nasilenie treningu zainicjowane przez czeskiego arcymistrza zmusiło wszystkich rywali do analogicznych przygotowań. Rekordy świata podskoczyły w ciągu dwóch—trzech lat więcej, niż poprzednio przez całe dziesięciolecia. Przed młodzieńcem o sportowych aspiracjach stanął dylemat. Albo sport — abo wszystko inne. Albo wszystko inne — albo sport. Kto **chce marzyć** o szczytach (a w sporcie naprawdę liczą się tylko szczyty) — **musi** trenować 2 i 3 razy dziennie. Musi się zdecydować na tryb życia sportowego zawodowca. Oczywiście krąg kandydatów na Olimpijczyków zacieśnia się automatycznie. Odpadają wszyscy, którzy myśleli: „Mam talent i warunki fizyczne, warto potrenować, może będę miał trochę szczęścia". Obecnie sytuacja wytworzyła inny schemat myślenia: „Jeżeli nie poświęcę się sportowi bez reszty, nie mam co marzyć o sukcesach. Nie mogę bez reszty poświęcić się sportowi. Więc po co w ogóle uprawiać sport?"

Obserwacja życia społecznego potwierdza ten rozdźwięk psychologicznej natury. Wzrost liczby trenujących jest skutkiem przyciągania do sportu wsi i małych miasteczek, natomiast w tych środowiskach, w których sport od dawna był zakorzeniony, schodzi on coraz dalej w publicznych zainteresowaniach. Mam oczywiście na myśli **uprawianie** sportu, nie kibicowanie. Tak jest i wśród studentów, i w sferach inteligencko-urzędniczych, i nawet wśród starszych ponad dwudziestkę robotników. Tylko młodzież szkolna wykazuje niesłabnący dla piłki i bieżni entuzjazm, ale zazwyczaj kończy się on wraz z maturą i koniecznością wyboru drogi **życiowej.**

Można nawet zasygnalizować ciekawy proces wtórny: konfrontacja dziecięcych „snów o szpadzie" z bezwzględnymi rygorami nowoczesnego sportu wyczynowego, które nie pozwalają mieć złudzeń tym, co się nie decydują na sportowe niewolnictwo, powoduje niekiedy zupełne odwrócenie się od sportu, coś na kształt zemsty nad nieosiągalnym ideałem „olimpijczyka". Jeżeli nie mogę „pokazać się" w sporcie, to pokażę że sport jest bzdurą, która mnie nic nie obchodzi. Stąd jeden krok do antysportowego trybu życia, będącego często manifestacją przeciw własnym zawiedzionym ambicjom, leczeniem „kompleksu Sidły".

Hipertrofią wyczynowości jest więc nie tylko „psychiczną barierą", zagradzającą drogę sportowi masowemu, ale wręcz żądłem skorpiona, który to owad — jak powiadają — ma niekiedy zwyczaj własnożądlego unicestwiania swojej osoby.

Nasza szkółka

Prawda — nieprawda

Ogromna masa ludzi namiętnie czyta powieści historyczne. Ogromna masa uczniów beznamiętnie czytuje podręczniki historii. Można by długo wymądrzać się na temat przyczyny tego, że panuje powszechne lekceważenie historii przetworzonej na cykle wyobrażalnych dla człowieka obrazów i że nie dorównuje mu apetyt na historię jako pozawyobrażeniowa wiedzę o faktach.

Każdy z nas więcej „pamięta z historii" dzięki lekturze beletrystyki niż ze studiowania podręczników i słuchania szkolnych czy nawet uniwersyteckich wykładów. Każdy tedy wie, że Jeremi książę Wiśniowiecki miał pryszcz na nosie, a Jagiełło płakał nad prezentem w postaci mieczów. Natomiast naszej pamięci wymknęło się kilka tysięcy lat historii Azji.

Obejrzałem film „Paryż 1900" i zrobił on na mnie wstrząsające wrażenie. Ponieważ film podobno nie wejdzie na ekrany z przyczyn „kasowych" wyjaśniam, że jest to dwugodzinny montaż kronik filmowych dotyczących Paryża z lat 1900—1914.

Może daję tu ujście naiwnej ekstazie, ale szczerze powiadam, iż w pewne zdumienie wprowadza mnie fakt istnienia zdjęć filmowych Lwa Tołstoja, czy królowej Wiktorii. Że można obejrzeć wieżę Eiffla w momencie tuż po oddaniu jej do użytku, pierwszy, nieszczęśliwy zresztą skok na spadochronie, pierwsze wzloty pierwszego samolotu; że można oglądać rewie mody z 1900 roku, zdjęcia z ówczesnych kurortów, utrwalone na taśmie najważniejsze wydarzenia polityczne sprzed pół wieku i starsze. Dalej, że sfilmowano występy Sary Bernhardt, dziewiętnastoletniego Chevalier'a, że filmowano Paula Valery'ego, Matisse'a i całą plejadę znakomitości w czasach, kiedy były one jeszcze nikomu nieznane, że istnieją zdjęcia filmowe Emila Zoli, Cezanne'a itp. itd.

I potem uświadomiłem sobie, że chyba wszystko co ważniejszego działo się na świecie po 1914 roku jest skrupulatnie nakręcone na taśmie i spoczywa w archiwach filmowych kilkunastu krajów.

Nie rozumiem, dlaczego szefowie dystrybucji filmów uznali, że „Paryż 1900" będzie filmem nie kasowym i może być wyświetlany tylko w kinach klubowych i — dla koneserów. Nie wierzę bowiem, żeby setki tysięcy czytelników powieści historycznych nie obejrzało sobie z większą ciekawością, jak car Mikołaj II przemawia z balkonu Pałacu Zimowego, a cesarz Wilhelm II wyrusza na wojnę, niż pierwszą lepszą bagatelną komedyjkę.

Ale nie rozumiem też rzeczy o wiele ważniejszej. Skoro tak ogromny szmat historii, przynajmniej w jej faktograficznym aspekcie, został utrwalony na filmowej taśmie, to czy czasem szkolna nauka historii, nie korzystająca z archiwów filmowych nie jest takimż bez sensem jakim byłby wykład historii sztuki, w którym reprodukcje obrazów zastąpiono by werbalnymi ich opisami, opowieścią, co też jest na obrazku.

Niewielkim kosztem zestawić można w dokumentalnym cyklu dzieje II wojny światowej, historię polskiego dwudziestolecia, dzieje hitleryzmu, różne przeglądy minionych wydarzeń i chronologiczne i monograficzne. (Widziałem taki jeden, nb. także francuski przegląd pt. „Chcemy żyć", składający się z obrazów wojennej martyrologii ludzi spod różnych szerokości geograficznych, różnych ras i różnych czasów od podbojów kolonialnych po Indochiny — i ten beztekstowy, niby „beztezowy" filmik zrobił na mnie równie wstrząsające wrażenie, jako najdoskonalszy pokojowy manifest). Gdyby to się stało, nasza wiedza o przeszłości wzrosłaby niewspółmiernie, doznania wizualne pobudziłyby zainteresowania źródłami pisanymi, a wreszcie nauka historii w szkole i to jej najważniejszego okresu byłaby łatwiejsza dla uczniów, przyjemniejsza i wielokrotnie efektywniejsza.

Na przeszkodzie stoją tu tylko zgoła zwalczalne trudności techniczne no i trudniejsze do zwalczenia nieporozumienia.

Utarł się u nas mit o tym, że film dokumentalny nikogo nie interesuje, że pokupne jest dopiero to, co ma jaką taką fabułę (Stąd wstręt nawet zawodowych dokumentarzystów filmowych do nakręcenia na taśmę wydarzeń. Tworzy to manierę polegającą na umiłowaniu „problemówek", felietonów filmowych, historyjek inscenizowanych).

Uważam, że po części to nieprawda, po części zaś półprawda poženiona z oportunizmem. Twierdzenie to mogę poprzeć dwoma argumentami: 1) Powodzenie kroniki filmowej (niesłusznie zresztą dającej niewiele sekwencji o faktach, które wydarzyły się na świecie i to bynajmniej nie z tej przyczyny, iżby kronice brakowało materiału); 2) Ogólny proces czytelniczy, zgoła rewolucja gustów od beletrystyki w ogóle a powieści opisowej w szczególności ku pamiętnikom, dokumentom, faktologicznej literaturze naukowej i popularno-naukowej. Nakłady dzienników informacyjnych też świadczą o kształcie zainteresowań.

Natomiast jest prawdą, że nie istnieje u nas nawyk specjalnego chodzenia do kina na filmy dokumentalne, mimo że każdy dokumentalny dodatek ukazujący fakty, coś dziejącego się — przyjmowany jest przez widownię z entuzjazmem.

Ów nawyk niechodzenia jest irracjonalny i inercyjny. Wszakże znamy metody i mamy aparaturę do przekształcania nawyków. Nie może być prawdą, że w roku 1960 publiczność woli „Lotną" od ewentualnej kroniki dokumentalnej września 1939, albo najświetniejszy nawet fabularny filmik o Leninie od montażu kronik z żywym i prawdziwym Leninem, który to montaż jest, istnieje, ale kto o nim słyszał i widział gdzie i kiedy można go obejrzeć?

Obojętność wobec dokumentu filmowego, niechęć wobec dokumentu filmowego nie może być prawdą, nawet jeśli jest prawdą.

BELFER

Odgłosy morza

Żeglarze z miasta ŁODZI

Ewa Nagurska sternik morski Klubu sportów wodnych LPŻ w Łodzi

Nagle dowiedziałem się, że jestem szczurem lądowym. Gdyby człowiek mieszkał w Gdańsku, Gdyni czy Szczecinie, może wtedy nie byłby szczurem. Ale mieszka w Łodzi, więc na pewno nim jest. Nigdy nie ujrzy morza „od środka".

O jakże strasznie się mylicie mili marynarze naszych słonych wód! My tu w Łodzi mamy blisko setkę zawołanych żeglarzy, kapitanów i sterników jachtingu morskiego ogorzałych wilków morskich, którzy zawijali już do wielu portów świata. Zaczyna się oczywiście od stawu Stefańskiego, potem są Mazury czy Zalew Wiślany, Jezioro Dąbskie, potem już morze i... oceany.

Wymieniamy tu tylko żeglarzy, bo oni się w tym rachunku liczą najbardziej. A te tysięczne rzesze łodzian, które corocznie można spotkać na plażach nadmorskich? Czy to nie świadczy, że Łódź jest jak mało które miasto w kraju przywiązana do szmaragdowych słonych wód?

Nie tylko zresztą my. Na amerykańskich i w ogóle wszystkich drogach świata zagęszczenie pojazdów mechanicznych jest coraz większe. Do wczoraj imponował pęd samochodu, skutera, motocykla. Dziś jest za ciasno i za duszno w wielkim mieście. Przestrzeń wokół miast jest też zajęta. Gdzież wypocząć? Woda! Szerokie płaszczyzny jezior i mórz. Samotność, oderwanie na kilka przynajmniej dni czy tygodni od spraw wielkiego rozhukanego świata — oto nowoczesna, lansowana już na całym świecie forma wypoczynku. Stąd też bierze się wielki rozwój jachtingu, jaki obserwujemy obecnie niemal we wszystkich krajach świata niezależnie od tego czy leżą nad morzami czy nie. W naszym reportażu będzie mowa o jachtingu morskim, który jest najwyższą klasą w tej dziedzinie sportu, klasą wymagającą największych umiejętności żeglarskich dając jednocześnie największe zadowolenie.

Wśród wielu jachtów żaglowych zawijających do portów świata nie brakuje jednostek polskich. W roku ubiegłym np. żeglarze łódzcy dotarli do Edynburga, w tym roku wybierają się nowym jachtem do Helsinek i na rejs wzdłuż wybrzeży Francji. Inne kluby jachtowe, których mamy w Polsce blisko 240 także nie próżnują. Jachting rozwija się coraz bardziej i coraz szersze zdobywa rzesze miłośników. Bo jest to chyba najtańsza a jednocześnie dziś w Polsce dość szeroko dostępna forma zwiedzania wielu dalekich lądów. Jest to uroczy sport i bezpieczny, nie mający ogólnie biorąc cech wygłupu, jaki powszechnie, choć też pewno nie słusznie, przyjmuje się żeglowanie na tratwie czy morskiej szalupie ratunkowej. Jacht morski jest jednostką budowaną specjalnie do tych celów, posiada wielką stateczność, odpowiednie urządzenia na i pod pokładem, słowem wszystko, co gwarantuje pewne bezpieczeństwo jego kilkuosobowej załodze. Pływanie na jachcie dostarcza oczywiście wielu mocnych wrażeń. Ale jest to — rzecz prosta — sport dla ludzi obdarzonych silnymi nerwami i wielką wiedzą fachową. Miło nam, że wielu takich ludzi mamy również w Łodzi. Dzięki nim nasze miasto doczekało się własnego jachtu pełnomorskiego, którego wodowanie, jak już wiemy z gazet codziennych, odbyło się w Szczecinie w niedzielę, 24 kwietnia 1960 r. Jesteśmy już w pewnym sensie miastem morskim, skoro posiadamy własny „szip".

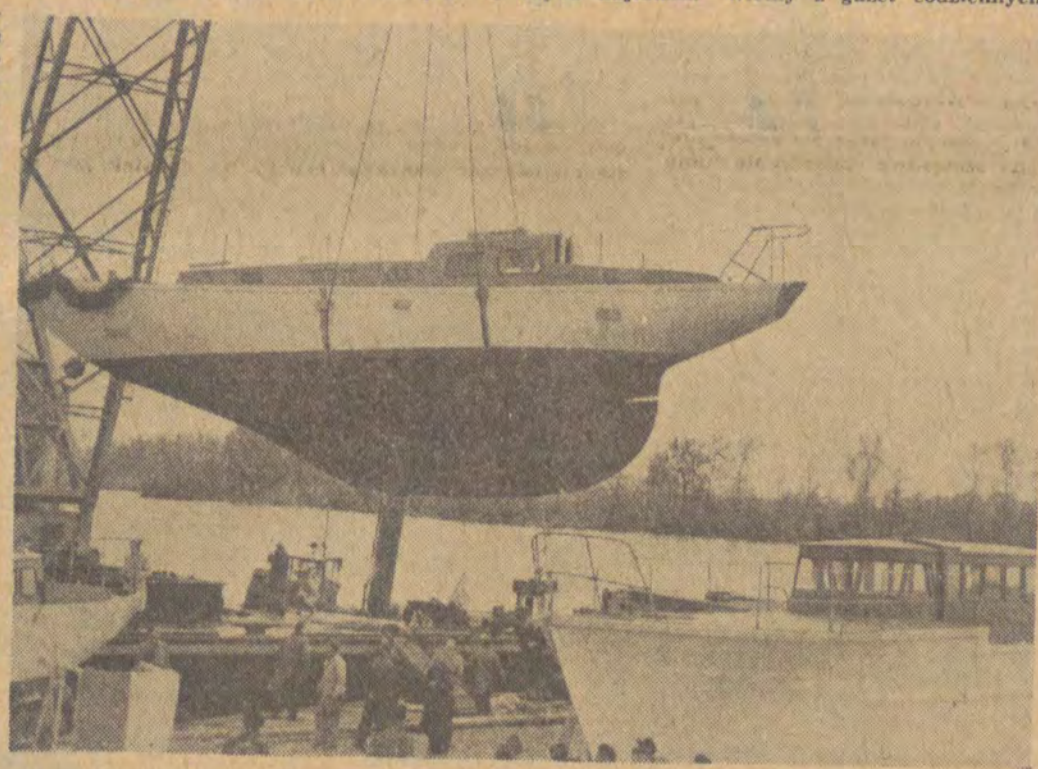

Wodowanie „Boruty"

Zanim jednak powiem słów kilka zarówno o „Borucie" jak i o jachtingu typu uprawianego przez nas a więc jachtingu sportowego, wspomnijmy, że określenie to ma w zasadzie dwa aspekty. Bo przecież jacht greckiego kapitalisty Onassisa „Christina" nie posiada nawet masztu, na który można by wciągnąć najmniejszy choćby żagiel. Jest to jednostka przerobiona z amerykańskiej korwety wojennej, superluksusowy pałac pełen dzieł sztuki i najnowocześniejszych urządzeń: ma radar, odbiorniki telewizyjne, kino, baseny kąpielowe, salony itd. Podobnie choć nieco skromniej wyposażone są olbrzymie jachty prywatne, kursujące czasem nawet na żaglach, ale tylko dla rozrywki, posiadają bowiem z reguły świetne silniki spalinowe.

Nic z tego, z wyjątkiem silnika, czasem radia, no i nazwy jachtu nie posiadają jednostki sportowe. Zarówno u nas, jak i na Zachodzie.

Pryska butelka polskiego szampana. Łódzki jacht został ochrzczony imieniem „Boruta"

Nasz łódzki jacht pełnomorski „Boruta" ma żagiel o powierzchni 50 m kwadratowych, może zabrać na pokład 7 żeglarzy, przy czym będzie tam już dość ciasno. Jest to jednostka przeznaczona do produkcji seryjnej przez dwóch polskich konstruktorów Ryszarda Langera i Kazimierza Michalskiego, a wykonana w pierwszej serii pięciu sztuk (na razie) w Warsztatach Szkutniczych LPŻ w Szczecinie Dąbiu. Odznacza się piękną linią, spełnia możliwie wszystkie wymogi tego rodzaju sprzętu. 15 maja, już po umieszczeniu na pokładzie jachtu masztu i ożaglowania, „Boruta" wyruszy w swój pierwszy próbny rejs po Bałtyku.

Zanim poznamy w praktyce sprawność łódzkiej jednostki, dowiedzmy się, że szczecińska stocznia jachtowa LPŻ pracuje od roku 1958 i ma na swym koncie wykonanych już 9 jachtów typu „Grzywocz" (20 m kw. żagla), kilkanaście jednostek rybackich, no i największy z wyprodukowanych tu (na razie) jacht pełnomorski „Polonia", który jak słychać ma płynąć w trzyletni rejs dookoła świata. Na razie „Polonia" po zeszłorocznych wojażach bałtyckich stoi sobie na rusztowaniu w hangarze i poddawana jest gruntownemu malowaniu kadłuba oraz przebudowie wnętrza. Nawiasem mówiąc na temat rejsu dookoła świata krążą wieści różne. Między innymi i ta, że eliminacja przeprowadzona wśród kandydatów była tak sroga, iż zostało, zdaje się, tylko dwóch godnych żeglowania na „Polonii" Czy rejs ten dojdzie do skutku, do dziś nie wiadomo, choć cele popularyzacyjno - krajoznawcze (realizacja filmów, zdjęcia, sporządzenie nowych map itp.), były, przyznajmy, dość szczytne.

Obok dwóch stoczni szczecińskich, jachty morskie produkuje również stocznia gdańska w Siankach.

Jak są oceniane nasze konstrukcje jachtowe i ich wykonanie na żeglarskich giełdach światowych? Trzeba powiedzieć, że wysoko. Gdybyśmy tylko mieli większe możliwości produkcyjne, liczba zamówień otrzymywanych z zagranicy mogłaby odpowiednio wzrosnąć. Niestety, ta dziedzina sportu jest u nas jeszcze ciągle przedmiotem badań. Stocznia w Siankach wykonała teraz na zamówienie 3 jachty typu „Ametyst" o powierzchni żagla 35 m kw. „CENTROMOR" czyli Centrala Handlu Zagranicznego Jednostkami Morskimi zamówiła ostatnio w Szczecinie partię 5 jachtów tego typu. Ponieważ, jak się rzekło, sprawa jest w toku badań od strony możliwości uzyskania najkorzystniejszych cen, nie udało nam się zdobyć danych w tej mierze.

Ta ewolucja tematu jaka powinna się zaznaczyć wyraźnie w tym reportażu, ewolucja od przyjemności jakie daje sport żeglarski do ekonomicznych korzyści jakie dać nam może, jest zamierzona. Polska posiadająca wciąż jeszcze dość niezłą w stosunku do innych krajów bazę drzewną i może stać się w stosunkowo krótkim czasie poważnym producentem nie tylko wielkich statków pełnomorskich, ale i uzupełniać ten export małymi jachtami. Tu ważny jest także czynnik odpowiedniej wielkiej reklamy własnych produktów. A któż lepiej jak nie nasze nowe jachty, a wśród nich i „Boruta" na wszystkich morzach i oceanach świata mogą zareklamować możliwości Polski w tej dziedzinie produkcji?

I tak to, łączy się w jachtingu piękne z pożytecznym.

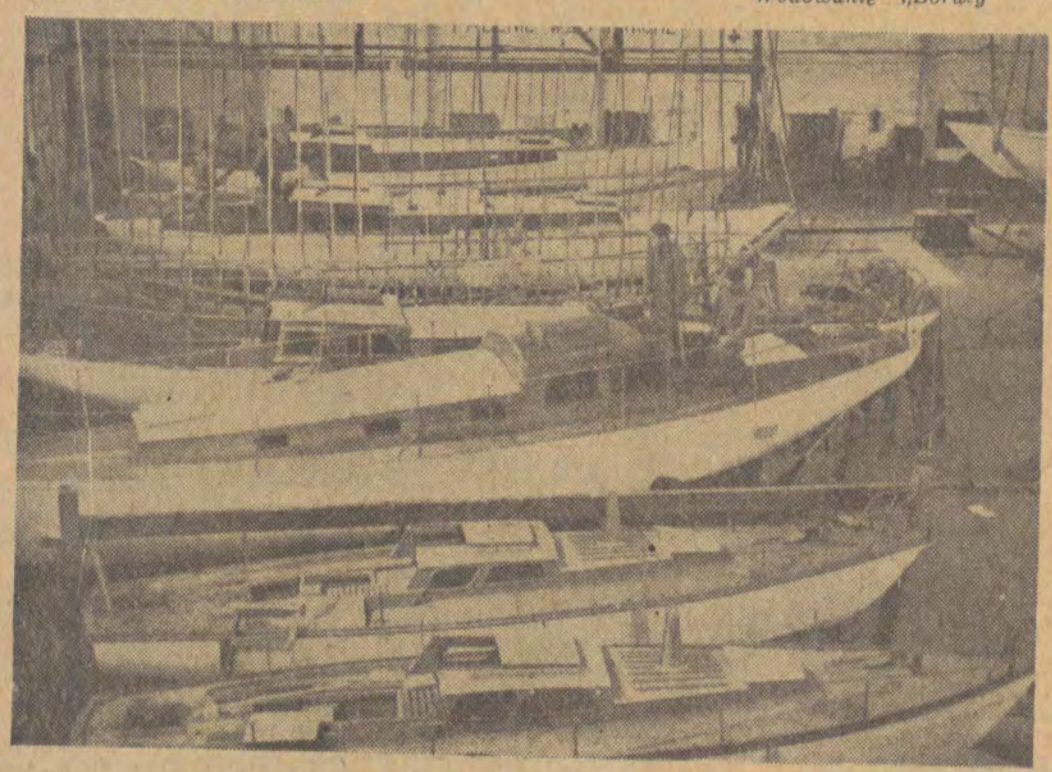

Stocznia jachtowa LPŻ w Szczecinie

Tekst i zdjęcia
WIESŁAW
MACHEJKO

O młodzieży, nieco inaczej

Optymizm jest bratem nadziei. Były „szef Sprawiedliwych" Jurek Kucharski jak zawsze pogodny

Z szacunkiem proszę... Paka dyskutuje. Młodzi chłopcy widoczni na drugim planie, nie nabyli jeszcze jej praw

Paka gra. Lepsze to niż beznadziejne wystawanie na rogu ulicy

Ulica Obornicka. Chłopcy z grupy blokowej ZMS sami pilnują aby nikt nie zakłócił jej spokoju.

Zdjęcia E. Kudaj

PACZKA „SPRAWIEDLIWYCH"

BOGUSŁAW HOLUB
Zdjęcia: E. KUDAJ

Posesja nr 13. Feralna liczba? Przesądni spodziewać się mogą po niej wszystkiego najgorszego. Niektórzy zaś traktują ją na równi z czterolistną koniczyną. W moim reportażu jest ona pechową i szczęśliwą zarazem.

Czy tak może w ogóle być? Może. Bo liczba ta, to tylko miejsce na ziemi, plac opuszczony, wciśnięty między parterowe, robotnicze domki. Plac brzydki. Brzydoty nadaje mu jeszcze wysoki, odrapany mur, przylegający do posesji.

W tym zamkniętym czworoboku panowała „paka". Czterdziestu chłopców. Najstarszy z nich ma lat 25, najmłodsi po 15—16.

Tu obmyślali „kawały", które robili sąsiadom. Tu sprawował rządy „Najwyższy Trybunał" paczki. Spory rozstrzygane były bez biurokratycznych ceregieli. Doraźnie Umowne prawa obowiązywały wszystkich i łamanie ich oznaczało najcięższą z kar — wykluczenie z paki. Decyzje sądu były respektowane i nie zdarzyło się, aby ktoś od nich apelował. Regulamin zabraniał: kradzieży gołębi należących do członków paki, ujawniania tajemnic paki i ubliżania sobie, a w szczególności używania słów kończących się na „syn" i „... mać". Obowiązywała solidarność. Tyle w skrócie o organizacji wewnętrznej paczki.

Jej skład socjalny: robotnicy lub dzieci robotników, uczniowie szkół zawodowych i jeden student IV roku medycyny.

Sympatycy: mieszkańcy z ul. Obornickiej i przewodniczący Komitetu Blokowego — 58-letni Mieczysław Pawlak.

Antagoniści: paka z ulicy Bydgoskiej i dzielnicowy MO.

Dzielnicowy, chłop rosły, nie był osobnikiem rozmownym. Nad wszystkie dyskusje z chłopakami przekładał gumową pałkę. Taką metodą zaskarbił sobie serdeczną nienawiść paki i uzyskał przezwisko „Indianin".

Przezwisko to nadano mu dlatego, bo wyrastał ni stąd — ni zowąd za plecami chłopaków i z wojowniczym okrzykiem „Rozejść się!", dzielił uderzenia.

— Pałka ma smak mdły, jak zgniła gruszka — zwierzali mi się później chłopcy.

Kiedy przeniesiono go w inny rejon miasta, paka odetchnęła z ulga. Stan stałego zagrożenia został zniesiony.

Na Bałutach, tak zresztą, jak na peryferiach każdego wielkiego miasta, „paki" sprawują swoistą władzę na podzielonych odcinkach ulic. Zgodzić się trzeba, że nie cieszą się one łaskami rewirowych MO. Ich zwyczaje, a zwłaszcza praktyki, nie jednają im sympatii u władz. Obornicka nie jest duża ulicą. Ma zaledwie 27 numerów. Rządziła tu tylko jedna paka — „Sprawiedliwych".

Nazwę tę chłopcy przyjęli nie przez umiłowanie porządku i ładu, lecz od bliskiej ulicy — Sprawiedliwej. Początkowo przyjęli ją dla swojej „dzikiej" drużyny piłkarskiej, później dla całej paki. Teraz widać, że była to prorocza nazwa.

CO TU SIĘ STAŁO?

„Paka" należy już do historii dzielnicy.

Z chłopcami spotkałem się dwa razy. Próbowałem ich poznać.

I wierzcie — wdzięczny będę każdemu, kto wytłumaczy mi, jak to się stało, że chłopcy z Obornickiej unicestwili własną pakę. Zrobili to z własnej woli, bez agitacyjnych mów i przymilnych deklaracji. Swoją decyzją wyprowadzili z równowagi działaczy ZMS z dzielnicy Bałuty. W KD zrobiono natychmiast naradę. Przewertowano statut Związku. Nigdzie nie ma ani słowa o blokowych grupach ZMS. Ale nie ma ani słowa, że takie grupy nie mogą powstać. Co robić? Niech się dzieje co chce, popatrzymy. Jurek Kucharski, moralny przywódca „paki" zgłosił się na drugi dzień po decyzji KD po deklaracje członkowskie.

— Co to za jedni? — pytano, — Paka? — Z paczki znano w KD jedynie Kucharskiego.

— Masz deklaracje i bierzesz za nich odpowiedzialność — oświadczono.

— Jak koniecznie chcecie, to biorę.

Po kilku dniach Kucharski dostarczył 27 wypełnionych deklaracji członkowskich. Na jednej w rubryce: wiek, wypisany był adres zamieszkania. Mirek Nowicki przemycił się do organizacji. Ma dopiero 15 lat. Do Związku przyjmują od 16. Prosił, żeby go przyjęto. Bał się, że jak wszyscy wstąpią, to wykluczą go z paki i z... placu. Ten plac pod feralną „13", to osobny rozdział w życiu chłopców. Z placem tym wiążą oni całe nadzieje organizacji. Przywiązali się do tego miejsca i ani rusz. Gdzie mają zresztą iść? W pobliżu nie ma żadnej publicznej świetlicy. Są zakładowe, ale tam obcych nie wpuszczają. Tu, na „swoim" placu, zamierzają zrobić sobie szopę, barak, byle tylko mieć własny dach nad głową.

Słuchając opowiadań o ich placu, o zamierzeniach, przypomniał mi się podobny plac, podobnych „chłopców z placu broni". Los tego placu będzie jednak taki sam, jak placu chłopców z książki Molnara. Za kilka lat przyjadą kopaczki i staną na nim nowe bloki. To jeszcze sporo czasu. Teraz chłopcy usadawiają się na nim, jak gdyby otrzymali go na wieczyste władanie.

* * *

Jeżeli ktoś znajdzie się przypadkowo na ulicy Obornickiej, niech zajrzy na posesję nr 13. Na środku niej stoi już wysoka żelazna iglica. To nie piorunochron. Ma ona specjalne przeznaczenie. Na tej iglicy zawiśnie chorągiew. Może się to wydawać zabawną dziecinadą. Jeżeli kogoś widok ten zdziwi, proszę spytać tych chłopców, dlaczego uparli się przy chorągwi. Odpowiedź stać się może przyczynkiem do rozważań nad bezideowością „wściekłego pokolenia". Zaznaczam, to nie są dzieci po 8—10 lat, lecz chłopcy dojrzali, może nawet przedwcześnie. Biało-czerwona flaga na maszcie jest chyba czymś więcej niż zwykłą zabawką „małych romantyków".

Chłopcy chcą się wyróżnić od innych „dzikich pak".

Pokazywano mi zwoje starej, lecz dobrej jeszcze siatki na ogrodzenie. Skąd ją wytrzasnęli — nie wiem. Gdyby byli „cwaniakami", sprzedaliby tę siatkę za ładną sumę. Nie robią tego. Przeznaczyli ją na ogrodzenie posesji. Stos żelaznych rur na płot Jurek Kucharski wycyganił z Łódzkich Zakładów Obuwia Gumowego. Chłopcy zobowiązali się w zamian dostarczyć za kładom 100 kg złomu. Bądźcie spokojni, zbiorą na pewno. Oglądałem zrobioną przez nich gablotę na komunikaty grupy i gazetkę. Mają już tabliczki z nazwą grupy i nazwą klubu. Na razie nie wiedzą, na czym ją zawiesić. Od ulicy chcą zrobić solidny płot z betonowych prefabrykatów. Żeby go kozy nie przeskoczyły i psy nie podkopały. Skąd wziąć taki płot?

POCHWAŁA TERENOWEJ WŁADZY

Wyszliśmy oszołomieni. Mówię do Kucharskiego.

— Jurek, uszczypnij mnie. To jest wprost niemożliwe. Gdzie my jesteśmy? W Polsce?

— Nie wiem, bracie kochany, nie wiem — odparł.

Gdyby mi ktoś opowiadał, że w przeciągu 1.200 sekund można w naszych urzędach załatwić pomyślnie sprawę, przeprowadzić w terenie wizję lokalną, uzyskać jednomyślną zgodę dwóch urzędników władz komunalnych na inwestycję wartości 10 tysięcy złotych, parsknąłbym śmiechem, tak jak to robił niejaki pan Rojtszwanieć z Homla. Ale tu nie było nic do śmiechu. Tu był smutek. Smutek wynikający z konfrontacji tego faktu z tępym biurokratyzmem wielu innych urzędników w tysiącach naszych instytucji.

Nikt nie może mieć wątpliwości w słuszność naszego systemu. Ale nikt mi nie może zabronić nie cierpieć wielu jego przedstawicieli. Ludzi pijanych władzą, których co dzień trzeba tarmosić za uszy i przywracać do przytomności. Bo okazuje się, że można załatwić wiele spraw ludzkich szybko, po człowieczemu, przyjaźnie. Tak, jak ten płot dla posesji przy Obornickiej 13.

Nie chcę na tym miejscu robić marcepanowej laurki dyrektorowi Włodarczykowi i panu Markowskiemu z Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych Łódź - Bałuty. Jako jeden z szarych ludzi naszego miasta, chcę ukłonić się przedstawicielom władzy, którzy rozumieją młodzież i zdają sobie sprawę ze swych obowiązków. To jest tylko pochwała rozsądku.

Aby obniżyć koszt ustawienia płotu, chłopcy z grupy zobowiązali się wykonać wszystkie prace pomocnicze. Wykopaną pod fundamenty ziemię zużyją na niwelowanie placu. Stare babuszki, oglądające ich krzątaninę, dziwią się niezmiernie. Dom im będą budować. „Sam Kaźmierczak zadecydował" — komentowały między sobą.

Mieczysław Pawlak, przewodniczący Komitetu Blokowego, był co prawda u przewodniczącego MRN, Kaźmierczaka, ale tylko w sprawie uzyskania zezwolenia na budowę baraku. Zezwolenie takie otrzymał, ale nic więcej. Zresztą i to wystarczy. Początkowo mieli zamiar kupić gotowy barak od Elektrociepłowni. Pertraktacja nie doszła do skutku. Żądano za niego 12 tysięcy złotych. Grupa nie posiada na razie żadnych funduszy. Chcą wobec tego zwrócić się do któregoś z czterech Przedsiębiorstw Remontowo - Budowlanych na Bałutach z prośbą o stare, niezłe jeszcze deski z rozbiórki. Takie deski idą przecież najczęściej na opał. Sprzedaje się je po 3 grosze za kilogram. I w tym wypadku liczą na pomoc życzliwych ludzi.

Wśród grupy chłopców są stolarze i cieśle. Z desek chcą zrobić sami barak. Zenek Oleszkiewicz uzyskał już zezwolenie z dyrekcji swoich zakładów na wykonanie po godzinach pracy okien i drzwi do baraku. Każdy chce coś robić, każdy deklaruje swoją gotowość. Ogarnęła ich jakaś niezrozumiała dla wielu zaciekłość na robotę. Pomyśleć, że to są ci sami ludzie, którzy chandryczyli się do niedawna z dzielnicowym i którzy prowadzili zawzięte potyczki ze swoimi antagonistami z ulicy Bydgoskiej...

KARUZELA, KARUZELA

Nie wiem, kto w Dzielnicowej Radzie Narodowej Bałuty dał zezwolenie prywatnemu przedsiębiorstwu na ustawienie karuzel i strzelnicy przy ulicy Limanowskiego. Decyzja ta nie jest najmądrzejsza. Byłem kilka dni temu wieczorem na tym zaimprowizowanym wesołym miasteczku. To zła zabawa. Nie karuzela. Wielu ją chwali. I nie tylko dzieci. Wśród dorosłych ma ona również wielu zdecydowanych zwolenników. Złe jest miejsce na tego rodzaju imprezę. Nie ma w pobliżu posterunku. Milicja przychodzi tu od czasu do czasu. A karuzela kręci się do 11 w nocy. Przyjeżdżają tu „paki" z Widzewa, z Chojen i Marysina. Przyjeżdżają na „ubaw". Tłuką się między sobą niemiłosiernie.

Podtrzymują złą bałucką tradycję rozpraw nożowych. Najbardziej cięci są na tych z Obornickiej. Bo wyłamali się ze społeczności pak. Zarzucają im, że zdradzili dziki ubaw i dzikie zwyczaje.

Wesołe miasteczko. Kiedy pierwszy raz spotkałem się z Kucharskim, nie miał jeszcze blizny nad okiem. Teraz ma długą, różową skazę. Kucharski mieszka w tej dzielnicy od lat. Nigdy jednak nie dostał takiego lania, jak ostatnio. Chyba nie przypadkowo. Jest on przecież przewodniczącym grupy blokowej ZMS. Inny zwinąłby żagle i całą robotę organizacyjną. Nie robi tego. Chłopcy z dawnej paki „Sprawiedliwych" trzymają z nim. Przychodzą nowi. Przed miesiącem było w grupie blokowej 27 członków, obecnie jest już 60.

Grupa przez poparcie jej przez terenową władzę zyskała szacunek. Stała się zbiorowiskiem ludzi, którzy coś mogą zrobić, z którymi się władza liczy, i co najważniejsze, uwierzono im, że nie są źli, nie są społecznym marginesem.

PS.: Proszę przyjąć do wiadomości, że grupa blokowa ZMS na ul. Obornickiej jest pierwszą tego rodzaju grupą istniejącą w kraju.

B. H.

ŁÓDZIANIE 1960

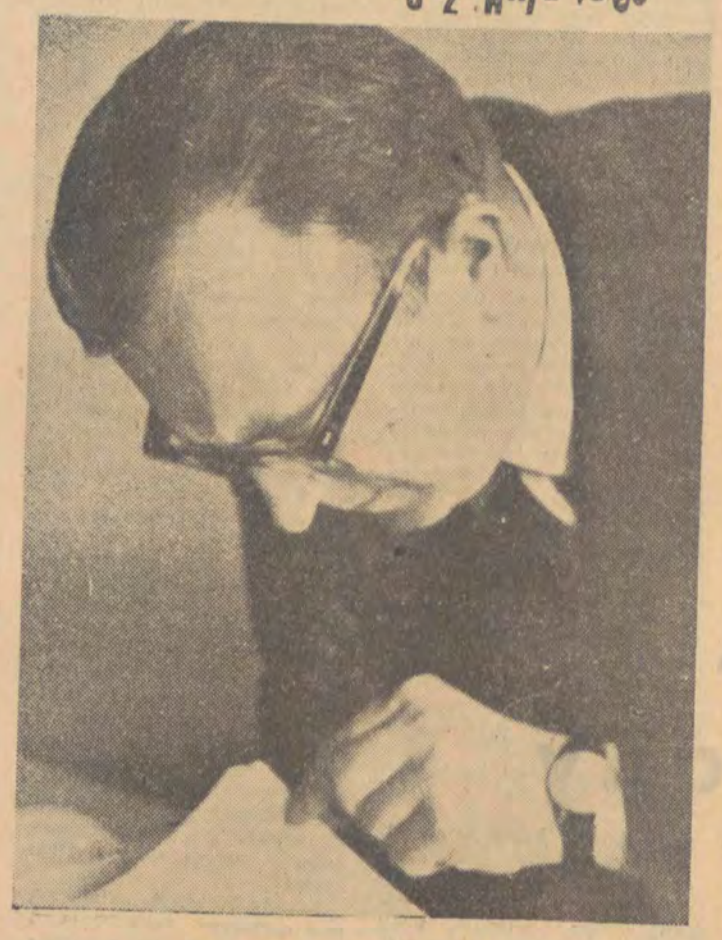

Moment pełen grozy. Redaktor naczelny Kazimierz Zygmund czyta tekst audycji, która pójdzie na antenę, albo... nie pójdzie

„TU MÓWI ŁÓDŹ..."

W gwarze radiowej zużyta taśma magnetofonowa (ale którą można jeszcze wykorzystać przy następnym nagraniu) nazywa się „woda".

— Dajcie mi kawałek wody — powiada redaktor naczelny.

— Proszę, oto jest.

— A czyja to woda?

W odpowiedzi pada nazwisko któregoś z redaktorów.

— Nie, to woda sodowa!

Krążą też inne dykteryjki.

— Czyj głos jest znany najbardziej w Rozgłośni?

— Głos Zygmunda.

Proszę nie wyciągać z tych historyjek morałów, które niejako same się napraszają. Rozgłośnia, po pierwsze, jak to sami codziennie możemy się przekonać, nie cierpi na nadmiar wody sodowej, po drugie, nie cierpi na kult jednostki. Nie będziemy tego udowadniać. Negativa non sunt propanda. W tym wypadku wystarczy zaprzeczyć.

A cechy pozytywne?

W bieżącym roku, jak wiadomo, Rozgłośnia Łódzka otrzymała cztery nagrody ogólnopolskie. W ubiegłym roku również cztery. Łódź występuje przeciętnie pięćdziesiąt razy w miesiącu na fali warszawskiej. Nie jest to mało, jeśli zważymy, że rogłośni regionalnych jest sporo. Jest rzeczą zrozumiałą, że nasi redaktorzy z Łodzi chcieliby w ogóle wyeliminować z anteny kolegów z innych Rozgłośni — może się to uda, kiedy stolicę przeniosą z Warszawy do Łodzi. Teraz słuchacze spoza Łodzi słyszą częściej naszą muzykę (Ciuksza, Debich Busiakiewicz, a i Wesoły Autobus z Mozgą ma wziecie!) niż słowo. Chociaż — trzeba oddać sprawiedliwość — Rozgłośnia Łódzka specjalizuje się w reportażu literackim, montażu radiowym (również słuchowiskach), które mają dobrą cenę na rynku warszawskim. Gdybyśmy tak z grubsza próbowali naszkicować „profil duchowy" naszej Rozgłośni, trzeba by właśnie te typy audycji specjalnie omówić. Jest jeszcze jedna cecha, którą ostatnio można zauważyć — wszystkie redakcje dążą do jak naj-

(Dokończenie na str. 6)

„Tu mówi Łódź"... Romana Mater i Marian Maj

A TO JEST REDAKCJA MŁODZIEŻOWA, KTÓRA MONTUJE AUDYCJĘ
Red. Zbigniew Wojciechowski, Irena Baranszczykowa i Stanisław Kapiel

— Jakie jest pańskie hobby?— Oczywiście — odpowiada red. Szewera — poszukuję ale jak dotąd bezskutecznie wolnego czasu, żeby wszystkiemu podołać...

Prawa ręka kierownika redakcji literackiej

USŁYSZELIŚMY PEWNEGO DNIA NADANY PRZEZ ŁÓDZKĄ ROZGŁOŚNIĘ INTERESUJĄCY FELIETON KTÓRY POZWALAMY SOBIE Z PRZYCZYN WYŁUSZCZONYCH, PONIŻEJ WYDRUKOWAĆ

Uroki prowincji

Cóż dużo mówić, stała się rzecz straszna. „Zbyszek Pietrzykowski nie przyjechał do Łodzi. Państwo rozumieją? Pietrzykowski nie przyjechał. Tysiące łodzian nie zobaczyło więc na własne oczy jak nasz mistrz wali w szczękę Józefowicza, nie zobaczyło tego najważniejszego momentu, kiedy przeciwnik Zbyszka chwieje się na nogach, twarz wykrzywia mu ból, wreszcie nieszczęśnik pada na deski. Zbyszek ma dynamit w pięściach, każde pieniądze płaci się za taką chwilę. Może poleje się krew, może szczęka wyskoczy z zawiasów? A Pietrzykowski nie przyjechał. Zapowiedział się, obiecał, miał bić w żołądek, szczękę, krzyże i nie przyjechał. Prasa łódzka podniosła krzyk. Istotnie, powód był nie byle jaki. Pietrzykowski obraził Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce.

Ale ten atak na czołowego szczękołamacza zawierał tyleż oburzenia, co i podziwu. Oburzenie wspomniałem już, a podziw? Pietrzykowski miał do dyspozycji prasę łódzką i radio — pisał redaktor sportowy „Dziennika Łódzkiego" — mógł swój występ odwołać. Państwo słyszą? Bokser miał do dyspozycji całą prasę łódzką i radio. Bokser, który pozbawia przytomności innych przez kilka lat, dostąpił zaszczytu, jakiego wciąż jeszcze nie może doczekać się uczony. Jego występ zapowiada drobna petitowa notka, z odwołaniem bywa często gorzej.

Postawy podziwu i oburzenia, pozornie tylko ze sobą sprzeczne, stanowią istotę naszego prowincjonalizmu. Prowincja zawsze się oburza, wybucha świętym gniewem, ma za złe, niczym stara niedopieszczona panna. Spróbujcie jej tylko nie dostrzec, pominąć, nie docenić, tak jak Pietrzykowski, a będziecie mieli za swoje. Prowincja wymaga nieustannie dowodów uznania, jak ryba wody, jak człowiek powietrza. Prowincja posiada z reguły swojego ulubionego wroga, z którym walczy o godność i uznanie, na którego oburza się regularnie. Łódź wojuje z Warszawą, Toruń z Bydgoszczą, Słupsk z Koszalinem, Radom z Kielcami, Zduńska Wola z Sieradzem, Kaczy Kuper Mały z Kaczym Kuprem Dużym. A o co, konkretnie, wojuje? Och, to już sprawa zupełnie prosta. Cały kraj, a szczególnie miasto-przeciwnik — musi wiedzieć, ilu mamy ministrów łodzian i biskupów łodzian, piłkarzy łodzian i malarzy łodzian, i pisarzy i śpiewaków, aktorów, miss piękności, zwycięzców zgaduj-zgaduli, musi wiedzieć ilu łodzian rodzi się w ramach narodowego planu, ilu umiera, kradnie, rozwodzi się lub żeni. Każde zwycięstwo spowija prowincjonalizm w patriotyczną mgiełkę i każde cieszy. Cieszy nas przecież fakt, że Łódź bije Warszawę w spożyciu alkoholu na głowę mieszkańca, raduje, że w całym kraju nie rodzą się dzieci tak gęsto jak na Stokach. Stoki biją podobno rekord Europy!

Ambicje zaznaczania na każdym kroku i w każdej dziedzinie swojej obecności mogą mieć pewien walor podnoszący miasto, mogą być zdrowe. Ale jeśli te ambicje rozdąć, podnieść do entej potęgi i kwadratu, stają się już tylko śmieszne, żałosne, prowincjonalne. Bo to jeden raz słuszna myśl zamieniła się w swoje własne zaprzeczenie?

Użyjmy jakiegoś przykładu. Nie mamy w Łodzi pisarzy w ogóle. Nasi pisarze są inni niż szanowna reszta, nasi pisarze są łódzcy. Warto rozpatrzyć bliżej to zjawisko. Oto jedna jego strona: pisarz dostaje niezłe warunki pracy. A więc wygodne mieszkanie, czasem odpowiednią pracę, możliwości druku w swoim wydawnictwie, czy w prasie, albo radio, może też za odpowiednim wynagrodzeniem spotykać się z rozmaitymi grupami czytelników. Sytuacja, zdawać by się mogło, normalna. Wszędzie, w każdym mieście należy dbać o twórców. Ale u nas jest w tej pożytecznej trosce coś prowincjonalnego. Za dobre czy znośne warunki powinien twórca odpłacić się wdzięcznością szczególnego rodzaju. Musi być łódzki. Im większy talent tym bardziej musi być łódzki, nasz własny i niczyj więcej. Jeżeli pisarz, aktor, reżyser, piłkarz czy uczony chce pracować gdzie indziej, prasa natychmiast podnosi alarm. Nie oddamy Szczepańskiego z ŁKS kto nam będzie kopał lepiej piłkę, nie oddamy Dejmka, kto nam będzie wystawiał „Akropolis" dla mas, nie oddamy tego i tamtego, ani żadnej innej rzeczy, która łódzka jest. Zmuszanie do łódzkości, forytowanie łódzkości, nagradzanie łódzkości, stawianie jej na głównym ołtarzu prowadzi niekiedy do moralnego przynajmniej sankcjonowania średniowiecznego prawa o przypisanych na wieki do ziemi.

Istnieje jednak druga strona tego samego zjawiska. Istnieje coś w rodzaju moralnego szantażu ze strony tak zwanych wielkich ludzi na prowincji. Zostałem tu — powiada jeden z drugim — w tym mieście niedobrym, zostałem z własnej i nieprzymuszonej woli, żeby was podciągać do rangi Europy, musicie więc mnie pieścić, lizać, wieńczyć laurami i orderami, albo jeszcze lepiej — nagrodami pieniężnymi, musicie mnie chwalić, sławić, podziwiać, hołubić, przygruchiwać, schlebiać, odkładać najlepsze kąski. Stąd też atmosfera, w której możliwe są dyskusje na temat, czy Łódź jest Rypinem, czy dobrze dzieje się tu twórcom. Dyskusje zupełnie nieznane w innych miastach naszego kraju.

Ale kto tu jest naprawdę wielki, kto mały, kto zaś taki sobie? Jak wygląda mechanizm, który produkuje miejscowe sławy?

Na pewno w jakiejś mierze uczciwa i rzetelna praca. Tak dzieje się w całym kraju. Resztę sław i to resztę wcale niemałą, rodzi specyficzny klimat prowincji. Rodzi na zasadzie przedziwnie prostej. Jeżeli Pipsztycki napisze złą książkę, to mu Iksiński napisze bardzo dobrą recenzję. Napisze dla dobra miasta, żeby podnieść choć w ten sposób jego poziom. Jeżeli natomiast Pipsztycki napisze dobrą książkę, to mu Iksiński na skutek zwykłej zazdrości nic nie napisze. I odwrotnie.

W ten sposób również powstają sławy. W inny sposób też. Sprawcy kiepskiego spektaklu w teatrze, autorzy wątpliwych felietonów, pacykarze, kiczmeni, bywają często chronieni przez opinię, jak drzewa w państwowych lasach, jak żubry, jak szerotki. Nie można ich dotknąć, gdyż umrą zaraz na serce, załamią się psychicznie, osierocą dzieci. Muszą więc, moi państwo, pozostać sławni.

Krytyk, choć przecież także omylny, ale poszukujący prawdy, chcący przywrócić zdrową hierarchię wartości, rozbija tradycyjną strukturę prowincji, ale też właśnie dlatego uznawany jest za rozrabiacza albo pałkarza. Albowiem poszczególne elementy prowincji skleja, niestety, wazelina. Więcej tu za kulisami załatwisz niż na scenie. Na prowincji każdy jest za krytyką, pod tym wszakże warunkiem, że ta krytyka jego nie dotyczy. Stąd te święte oburzenia, te gromy ciskane na rozrabiaczy, stąd te propozycje, aby krytycy przemawiali z zamkniętymi ustami.

Chociaż, czy ja wiem? A może nie jest tak źle? Przecież wolno atakować Pietrzykowskiego, chociaż rozbija on z dziecinną łatwością szczęki, wolno krytykować Szymborskiego, że źle kopie piłkę, wolno też milczeć na temat odepchnięcia młodzieży łódzkiej od masowego sportu, zwłaszcza młodzieży z fabryk. Można „Karierę" w Teatrze 7.15 uznać za arcydzieło, złą książkę za dobrą, można uznawać „Dziennik Łódzki" za wzór pisma odważnego, „Express Ilustrowany" za pismo reprezentujące szlachetną polszczyznę, można się wreszcie do tego wszystkiego przyzwyczaić. A wtedy koniec, kropka, amen, proszę państwa.

Nie rozumiem tylko, po co ostatnio w Komitecie Centralnym PZPR podjęto uchwałę w sprawie krytyki prasowej.

J

MORDERCA pozostał nieznany

WANDA FALKOWSKA

Pewnego wrześniowego dnia 1956 roku na plebanii w małym miasteczku podhalańskim o nazwie Kamienica dokonano wstrząsającego odkrycia. Dwie sprzątaczki porządkujące drwalnię przy miejscowej plebanii znalazły szkielet ludzki. Był to szkielet kobiety, zamordowanej przed kilkoma laty, której nie zdołano zidentyfikować.

Identyfikacja ta miała nastąpić dopiero w dwa lata później. Ustalono wówczas, ze znacznym stopniem prawdopodobieństwa, iż zamordowana nazywała się Anna Kurek i uchodziła za przyjaciółkę jednego z proboszczów parafii kamienickiej ks. Jana Lecha. Od kilku lat wszelki ślad po niej zaginął.

Latem 1959 roku ksiądz Jan Lech zasiadł na ławie Wojewódzkim w Krakowie, oskarżonych przed Sądem oskarżony o zabójstwo swej przyjaciółki. — Z tą zbrodnią nie mam nic wspólnego — oświadczył sądowi, nie przyznając się również do utrzymywania jakichkolwiek bliższych kontaktów z Anną Kurek.

Sąd Wojewódzki w Krakowie uznał jednak Jana Lecha winnym zabójstwa i skazał go za ten czyn na karę 15 lat więzienia, złagodzoną z mocy amnestii do lat 10.

Czy ksiądz Lech jest winny, czy niewinny? Wyrok sądu krakowskiego podzielił kibiców procesowych na dwa obozy. Zdecydowana większość wypowiadała się za księdzem Lechem w Krasnym Lasocicach, a następnie i w Kamienicy, gdzie był proboszczem cieszył się wielkim autorytetem wśród ludności.

Ciekawe, iż za uniewinnieniem oskarżonego wypowiedział się również w swym zdaniu przewodniczący kompletu sądzącego w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie, sędzia Tadeusz Migdał (ten sam, który w swoim czasie sądził Mazurkiewicza). Uważał on, iż proces nie dostarczył dowodów świadczących w sposób niezbity o winie proboszcza z Kamienicy.

Obrońcy oskarżonego Lecha założyli rewizję do Sądu Najwyższego, domagając się uniewinnienia swego klienta. W dniu 28 kwietnia br. Sąd Najwyższy ogłosił wyrok uniewinniający Jana Lecha od zarzutu zabójstwa Anny Kurek. Zabrakło dowodów, które mogłyby dość mocno przemówić za skazaniem. Jeszcze jeden sensacyjny proces poszlakowy zakończył się uniewinnieniem.

CO SIĘ STAŁO Z ANNĄ?

Dnia 2 stycznia 1956 roku Anna Kurek powiedziała do swojej sąsiadki: — Muszę jechać do Kamienicy po żywność. Mieszkała wtedy w barakach przy ul. Kolejowej w Nowym Sączu, dokąd przeniosła się w roku 1950 z Krasnych Lasocic.

To oświadczenie Anny nie zdziwiło nikogo. Sąsiadki jej, a nawet współlokatorka Maria Tarczoń niewiele o niej wiedziały. Anna prowadziła bowiem dość zagadkowy tryb życia. Nigdzie nie pracowała, handlowała, wiele jeździła i rzadko kiedy mówiła o sobie prawdę. Zwierzając się swoim powiernicom wymyślała też coraz to inne szczegóły ze swego życia koncentrując wszystkie swe zwierzenia wokół sprawy, pochodzenia jej 6-letniego synka Jasia

Być może Anna Kurek miała częsty u kobiet wiejskich kompleks na tle tego właśnie dziecka, być może puszczała wodze fantazji, w każdym razie opowiadała coraz to inne wersje dotyczące swego syna. Raz mówiła, że ojciec jego jest pułkownikiem, innym razem, że porucznikiem, jeszcze kiedy indziej twierdziła, że nadleśniczym, najczęściej, że jest księdzem. W każdym razie był to zawsze człowiek majętny i „kształcony". Ludzie znający ją dobrze nie brali jej słów poważnie.

Dwa dni przed ostatnią podróżą Anny Kurek pojawiło się u niej dwóch młodych ludzi. Podali się za ormowców. Nikt nie słyszał o czym rozmawiali z Anną. Po ich wyjściu kobieta, która mawiała zawsze, iż boi się tylko Boga, była zastraszona i płakała. Nikt jednak nie zdołał z niej nic wydobyć.

Sąsiadki pożyczyły Annie Kurek na drogę parcianą teczkę i płócienną poszewkę, w której obiecała przywieźć mąkę. Powierzyła ich opiece swego synka obiecując wrócić najdalej za trzy dni. Na próżno czekały na jej powrót, na próżno zgadywały, co też mogło ją zatrzymać.

W kilka tygodni po jej zaginięciu sąsiadki zawiadomiły milicję. Przedtem próbowały dowiedzieć się czegoś na własną rękę, jednak bez powodzenia. Anna zajmowała się przemytem lekarstw z Czechosłowacji. Początkowo opowiadano więc sobie, że zginęła zastrzelona na granicy. Jedna z jej sąsiadek wpadła na pomysł, aby napisać z zapytaniem o Annę do proboszcza z Kamienicy. Ksiądz Lech przyjechał, oświadczył, że nic nie wie, zabrał swoje palto, które dał Annie do czyszczenia, a nawet zostawił 200 zł dla Jasia.

Śledztwo mające na celu odnalezienie śladów Anny nie przyniosło rezultatów i zostało umorzone w przepisowym terminie.

TAJEMNICZY SZKIELET

Gdy w blisko cztery lata później, w czasie przekopywania drwalni przy plebanii kamienickiej natrafiono na szkielet kobiety, nikomu nawet na myśl nie przyszło, iż sprawa ta może mieć coś wspólnego z zaginięciem Anny Kurek. Szkielet był zresztą niekompletny i bardzo źle zachowany. W czasie ekshumacji, w której udział wzięli biegli lekarze Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie okazało się, iż brak wielu ważnych kości, m. in. kości całej prawej ręki. Pytanie co się z nimi stało zostało bez odpowiedzi. Nie zachowała się też odzież zmarłej. Odnaleziono natomiast obuwie, zniszczoną torbę skórzaną oraz resztki parcianej teczki. Szczątki te miały w przyszłości odegrać ważną rolę przy identyfikacji zwłok.

Zakład Medycyny Sądowej w Krakowie wypowiedział się, iż zbrodnia musiała być dokonana w okresie od 6 do 3 lat przed wykopaniem szkieletu, a wiek zabitej kobiety wahał się w granicach od 55 do 40 lat. Początkowo przypuszczano, iż zwłoki te należeć mogą do nieszczęśliwej epileptyczki Zofiji „Lelija" zwanej, która kręciła się w okolicach Kamienicy. Potem jednak wersja ta upadła. Wyjaśniło się bowiem, iż Lelija zmarła w jednym z zakładów dla umysłowo chorych.

To ustalenie skłoniło władze śledcze do ostatecznego umorzenia śledztwa w przepisowym terminie. Zagadka plebanii kamienickiej nadal nurtowała władze milicyjne w Krakowie. Sprawie nadano kryptonim „Kosteczka". Skoro nie zdołano ustalić, kto jest ofiarą, zaczęto szukać ewentualnego zbrodniarza. Badania poszły w kierunku ustalenia, kto miał najdogodniejszy dostęp do drwalni, w której znaleziono szkielet. W latach 1949—52 pokoje na parterze plebanii zajmował ówczesny proboszcz ksiądz Jan Lech. Drwalnia łączyła się z jego prywatnym mieszkaniem malutkim korytarzykiem wewnętrznym. Na nim więc skupiła się uwaga władz. Okazało się, iż ksiądz Lech w Krasnym Lasocicach, gdzie był poprzednio proboszczem, a także w Kamienicy uchodził za człowieka lubiącego kobiety. Było to powodem licznych plotek i rozmów wśród jego parafian. Zwłaszcza z jedną z jego „owieczek" łączono nazwisko księdza. Mówiono o niej nawet „księża narzeczona". Określenie to dotyczyło Anny Kurek. Wtedy właśnie władze przypomniały sobie, o jej zaginięciu. Ksiądz Jan Lech został aresztowany pod zarzutem morderstwa.

PROKURATOR MA GŁOS

Oskarżając księdza Jana Lecha o zabójstwo Anny Kurek Prokuratura Wojewódzka w Krakowie oparła się na poszlakach tworzących zwarty i logiczny łańcuch myślowy, choć jak się później okazało był to łańcuch posiadający słabe ogniwa. Po pierwsze więc uznano za udowodnione, iż kościec kobiety znaleziony w Kamienicy był właśnie kośćcem Anny Kurek. Zdaniem prokuratora nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż człowiekiem najbardziej zainteresowanym w jej zgładzeniu był ksiądz Jan Lech. Anna Kurek bowiem znana była ludności w Krasnym Lasocicach, a także w Kamienicy jako kochanka księdza i matka jego dziecka.

Ksiądz Jan Lech w życiu swoim poczynił wiele kroków mających na celu uwolnienie się od Anny, kobiety bardzo śmiałej, sprytnej, a nawet nachalnej. Najpoważniejszym z tych kroków, było opuszczenie Krasnych Lasocic, gdzie ksiądz wybudował piękny kościół, plebanię i zabudowania gospodarcze. Liczył na to, że w Kamienicy zazna wreszcie spokoju, że tu przestaną go gnębić ciągłe wizyty i nagabywania Anny. Zawiódł się jednak. Anna Kurek — jak wynika z jej zwierzeń czynionych kobietom w Nowym Sączu, — a także z napomknięć niektórych świadków, przyjeżdżała do Kamienicy, nadal kradła księdzu rzeczy, nadal go napastowała. Lęk przed kompromitacją i skandalem grożącym mu w każdej chwili skłonił księdza Lecha do zabójstwa. W ten sposób pragnął się uwolnić od zmory swojego życia, jak sam nazywał Annę Kurek.

Ale nie tylko chęć pozbycia się Anny przemawia przeciwko księdzu Lechowi w myśl starej zasady hic fecit qui prodest. Obciąża go również jego własne zachowanie po odnalezieniu kośćca. Jak zeznał dr Gołąb, kierownik Ośrodka Zdrowia mieszczącego się od 1953 roku w części plebanii kamienickiej do której należy drwalnia, ksiądz Lech prosił go o zachowanie w tajemnicy odnalezienia szkieletu proponując mu zakopanie go nocą na miejscowym cmentarzu. Jeśli wierzyć doktorowi Gołąbowi ksiądz Lech poświęcił wiele godzin na perswazje i namowy, aby nie zgłaszał on tego faktu do władz. Dr Gołąb początkowo nie przywiązywał do nich większej wagi.

Tego samego wieczora, gdy na plebanii odkopano kościec, ksiądz Lech zamknięty w swoim gabinecie sporządził dziwny dokument zatytułowany „Apologia vitae". Pismo to zaadresował do swego brata, którego prosił o odszukanie dokumentów świadczących o tym, iż nie jest ojcem Jasia Kurka. Ciekawe jednak, iż w apologii tej wiązał on w sposób oczywisty odkopanie szkieletu z osobą Anny Kurek, podczas, gdy prokurator wpadł na ten pomysł dopiero w dwa lata później. Napisanie apologii, która miała służyć obronie, a w praktyce przez długi czas służyła oskarżeniu, uznał sąd pierwszej instancji za jedną z poszlak przemawiających najpoważniej przeciwko oskarżonemu.

Sąd Wojewódzki w Krakowie podzielił w zasadniczych punktach stanowisko prokuratora: przyjął on iż znaleziony szkielet należał do Anny Kurek, która była kochanką księdza i matką jego dziecka. Uznał też, iż Jan Lech był zainteresowany w pozbyciu się Anny Kurek, a jego zachowanie świadczyło o tym, iż on właśnie jest zabójcą. Na tej podstawie zapadł wyrok skazujący.

NIE ROZWIĄZANIE ZAGADKI

Sąd Najwyższy uniewinniając księdza Jana Lecha od zarzutu zabójstwa nie podzielił jednak przedstawionego przed chwilą stanowiska. Przede wszystkim uznano jedynie za prawdopodobne, ale nie za pewne, że szkielet znaleziony w Kamienicy należał do Anny Kurek. Przeciwko takiej hipotezie przemawiał przede wszystkim wiek Anny, która w chwili zaginięcia miała lat 36, po drugie — niezgodność pewnych szczegółów, jak np. inny wygląd włosów, brak sztucznych zębów, które stale nosiła Anna i inne szczegóły. Ponadto — okazało się, a jest to rzecz dla sprawy zupełnie zasadnicza, że zaginął oryginalny protokół z ekshumacji zwłok, a w aktach sprawy znajduje się jedynie jego odpis, mało wartościowy z dowodowego punktu widzenia. Wreszcie do końca procesu nie zdołano ustalić przyczyn braku jednych kości, podczas gdy innych, w rezultacie gorączkowych poszukiwań, znaleziono za dużo. Tak np. okazało się, iż szkielet posiada aż trzy kości strzałkowe.

Wreszcie Sąd Najwyższy uznał, iż nieprzekonywująco brzmią zeznania świadków rozpoznających pozostałości rzeczy znalezionych przy Annie Kurek. Jedni np. rozpoznawali parcianą teczkę, inni twierdzili, że jest ona jedynie podobna do tej, którą nosiła Anna. Na takich zeznaniach nie podobna oprzeć wyroku skazującego.

Również sprawa romansu księdza Lecha z Anną Kurek i jego ojcostwa nie są bynajmniej tak jasne, jakby się to mogło zdawać patrząc pobieżnie na sprawę. Anna Kurek, kobieta mówiąca co jej ślina na język przyniesie lubiła chwalić się i imponować otoczeniu. Być może zdawało jej się, iż właśnie opowieść o tym, że ksiądz jest ojcem jej syna zjedna jej zainteresowanie ludzi i ich szacunek. Przedwojenna chlebodawczyni Anny Kurek Stefania Krzeczkowska z Krakowa mówiła, że już we wczesnej młodości Anna pisała sama do siebie listy, o których mówiła potem, że pochodzą od księży. Kto wie czy ta mania nie pozostała jej na całe życie. Zresztą niektórzy świadkowie oświadczali wręcz przed sądem, iż pomimo opowiadań Anny nie wierzą, że Lech jest ojcem jej dziecka.

Czy nie należałoby raczej zapytać o losy Anny owych dwóch „ormowców", którzy ją tak przestraszyli przed ostatnią podróżą?

Dowody zebrane i przedstawione przez prokuraturę są zbyt słabe i zbyt mało przekonywujące, aby mogła być mowa o wyroku skazującym. Wyrok taki w sprawie poszlakowej zapaść może tylko tam, gdzie wszelkie wątpliwości zostały usunięte, a koncepcja winy oskarżonego jest jedyną, logiczną do przyjęcia. Nie było tak w sprawie księdza Lecha. Stąd uniewinnienie.

TAJEMNICZY LIST

W roku 1865 w Pisarzowej pod Krakowem została zamordowana gospodyni ówczesnego proboszcza Agnieszka Kociołowska. Proboszcz Franciszek Neyduch wróciwszy z kościoła po sumie, którejś styczniowej niedzieli zastał w kuchni zimnego już trupa. Wkrótce też ujęty został pod zarzutem morderstwa. Okazało się, iż między księdzem a jego gospodynią istniała umowa, że w razie śmierci jednego z nich cały majątek stanie się własnością osoby żyjącej. Księdza Franciszka Neyducha oskarżono o morderstwo z chęci zysku.

Ksiądz Neyduch ugiął się pod ciężarem oskarżenia i ciężko rozchorował z rozpaczy. Zmarł w grudniu tego samego roku przed zakończeniem śledztwa i rozprawą sądową. Po wielu latach już na łożu śmierci wyznał swoją winę prawdziwy morderca Kociołowskiej niejaki Józef Uryga, wieśniak z Pisarzowej. Zamordował on gospodynię księdza, pragnąc ją ograbić, został jednak spłoszony przed dokonaniem rabunku.

Historia Księdza Neyducha musiała być znana komuś kto napisał list do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie podpisując się nazwiskiem Gruca.

„Ponieważ jestem na śmierci łożu i skonać nie mogę z powodu wyrzutu sumienia, że oskarżony ks. Jan Lech jest niewinnie oskarżony, bo to ja zabujstwo popełniłem z Anną Kurek, ponieważ mieliśmy życie zatrute. Ona nie zginęła w Kamienicy tylko w Nowym Sączu"..

Prokuratura Wojewódzka długo i starannie szukała Grucy w Grybowie, gdzie miał on mieszkać. Okazało się, iż choć Gruców mieszka tam wielu żaden z nich nie był konający, ani ciężko chory, żaden też nie znał księdza Jana Lecha. List przysłany do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie w cztery dni po wyroku skazującym miał być jedynie aktem pomocy dla oskarżonego. List ten podobnie, jak i fałszywe zeznania składane przed sądem przez niektórych świadków w celu ratowania księdza Lecha, okazały się zupełnie niepotrzebne. Do skazania po prostu zabrakło dowodów. Ksiądz Jan Lech jest uniewinniony prawomocnym wyrokiem, który ostatecznie zamknął jego proces. Wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy, kto jest mordercą Anny Kurek.

„TU MÓWI ŁÓDŹ..."

(Dalszy ciąg ze str. 5)

bardziej artystycznego wyrazu swoich programów. Czy to jest dobrze? Napewno tak. Po za tymi (nielicznymi) wyjątkami, gdzie można zauważyć dążność do fałszywego zabarwienia „literaturą". Zamiast rzeczowego reportażu usłyszymy na przykład ckliwy, pseudoliteracki obrazek. Ale to niebezpieczeństwo grozi wszystkim redakcjom w Polsce i poza Polską.

Red. L. Szumlewski (sport) uczy w wolnych chwilach głównego księgowego p. Axe nowicza... gry w kości

Nasza Łódzka Rozgłośnia, która jak powiadamy, coraz lepiej zasługuje sie „na polu słowa mówionego" ma swoich zasłużonych Jubilatów. A więc przede wszystkim panowie: Stanisław Kazimierczak, palacz, 30 lat pracy w Rozgłośni, Tadeusz Markowski — 25 lat, Szumlewski — 25 lat. Busiakiewicz — 30 lat, i niezliczona ilość dziesięciolatków. Zespół Programowy szczyci się tym, że ma największą ilość prezesów: oprócz prezesa Sokorskiego, który przebywa w Warszawie, trzeba wymienić: v-prezesa Borowika, v-prez. Bilińskiego (ZLP), prez. Szumlewskiego (ŁOZLA i Zw. Dziennikarzy), prez. Mozge (Wesołego Autobusu), prez. Cedrowską (rady zakładowej).

Nie jest wolny Zespół od słabostek, które przy okazji z przyjemnością odnotowujemy. Wszyscy mężczyźni są wielkimi miłośnikami kobiet. Od A (czyli Axentowicza), poprzez B (Borowika, Bilińskiego, Busiakiewicza) itd. aż do Z (Zygmunta). Z innych dziedzin: hobby Materowej — Tomek, Mrożkowej — domek, Kłosowej — Marek, Glegiera — Jarek (jeden z redaktorów „Odgłosów"). Ostatnia rewelacja: Debich oddał pałeczkę Gzelli (chwilowo tylko, z powodu choroby). Kto kogo w Rozgłośni unika? Niektórzy redaktorzy panią Antonowiczową (która pilnuje terminowego składania tekstów). Kto kogo poszukuje? Pani Antonowiczowa niektórych redaktorów.

Bardzo przyjemna cecha Zespołu i Redaktora Naczelnego: przyciąganie do współpracy coraz szerszego kręgu pisarzy, dziennikarzy, pupublicystów. Duże brawa na Dni Oświaty, Książki i Prasy!

Tekst: P.
Zdjęcia: B.

Ta urocza pani dźwiga... niedzie koncert życzeń

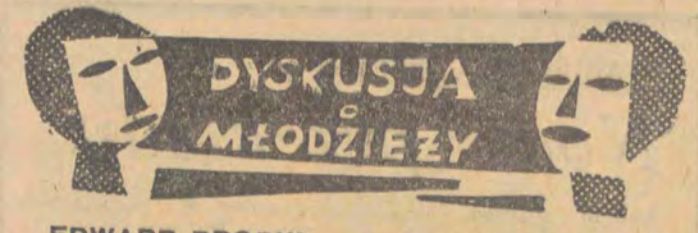

To my starzy łgarze...

EDWARD BROCKI

wizytator Kuratorium Łódzkiego

Najłatwiej ujawniać spustoszenia moralne zakorzenione już wśród młodzieży prawie wszystkich środowisk. Znacznie trudniej jest podać rękę tym niedorosłym wykolejeńcom i wprowadzić ich na drogę prawego ludzkiego postępowania.

Pijaństwo, prostytucja, włóczęgostwo, bandy rabunkowe — to znane zjawiska nie tylko wśród dorastającej młodzieży, ale nawet wśród dzieci. Groźne rozluźnienie moralne, stwierdzone ponad wszelką wątpliwość u nas i w całym prawie świecie, musi być jakimiś środkami zahamowane. Nie można przecież dopuścić do tego, by stało się plagą społeczną. Ale pokazywanie najbardziej nawet przerażających obrazów z życia młodzieży nic nie pomoże, jeżeli za słowami nie pójdą zaraz czyny energiczne i zbiorowe. Bo wtedy wyglądałoby tak, jakby odkryto chorobę na którą nie ma lekarstwa.

Czemuż narzekać na młodzież, na jej postępowanie, na jej pragnienie wyżycia się i użycia, jeżeli my dorośli: nie stwarzamy w pełni spokojnych, logicznych i uczciwych warunków do rozwijania młodych umysłów i kształtowania charakterów. Przecież niecała młodzież jest bezideowa i zepsuta. To tylko odpryski są nieszczęściem dla rodziców i społeczeństwa.

Większość młodzieży moralnie niezepsuta, żyje jednak naprawdę w trudnym dla siebie czasie. Sami przecież uczymy ją o niesprawiedliwości społecznej w dziejach ludzkości, o okropnych wojnach, szczególnie krwawych i barbarzyńskich dwóch ostatnich, o obozach koncentracyjnych, o minionej groźbie wyniszczenia biologicznego narodów, zgotowanej przez hitleryzm, o broni masowej zagłady i żądamy jednocześnie, żeby była moralną, dobrą, spokojną, uczynną, pracowitą i wierną ideom często z góry ustalonym. Nie znaczy to, żeby o tych faktach młodzieży nie mówić, należy jednak tej negatywnej przeszłości przeciwstawić pozytywna jasną przyszłość.

Wobec ogromnego rozwoju środków techniki słyszy ona stale o zimnej wojnie, a niekiedy i o gorącej. Zdaje sobie doskonale sprawę, że w razie katastrofy pierwsza musi przelać krew nie za swoje winy. W domu, w szkole, w fabryce a nawet na zebraniach nie zawsze widzi zgodę między słowem a czynem.

Nie dziwmy się więc, że jest taka jaka jest. Wszak kształtują ją żywe i codzienne przykłady. To my starzy łgarze spróbujmy najpierw zmienić atmosferę, w której żyje i wzrasta młodzież, a później żądajmy od naszych dzieci, uczniów, wychowanków a nawet studentów i pracującej młodzieży uczciwości, prawdy i postępowania zgodnego z potrzebami moralnego społeczeństwa.

Nie ma potrzeby jednym tchem ukazywać wszystkich starych błędów, ale nie sposób pominąć podstawowych czynników wychowawczych. Nikt przecież rozsądny nie zaprzeczy, że rodzina najlepiej spełnia funkcje wychowawcze. Nie trzeba ankietowych badań, socjologicznych opisów i wniosków uargumentowanych, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że najwięcej wykolejonej młodzieży wywodzi się z rozbitych lub zdemoralizowanych rodzin.

Tak jest prawie wszędzie: na wsi, w małych miasteczkach i dużych miastach. Stara przecież prawda głosi, że tylko dobry przykład wywiera właściwy wpływ, a słowa ulatują bez echa.

Tymczasem jakież przykłady mają dzieci i młodzież? Przede wszystkim, wódka stała się napojem narodowym. Nic się nie załatwi bez poczęstunku, smutne jest bez niej życie, na trzeźwo ludzie kapcanieją, w oparach alkoholu dzieci bawią się właśnie dopiero wtedy wesoło, jedzą smacznie, maczają w płynie ognistym paluszki i oblizują je smakowicie, a następnie śpią przy stole, na podłodze, w tramwaju na ramieniu ojca lub matki, byle tylko nie w łóżku.

Przychodzi jednak nieubłagalne rano, dzień pracy dla wszystkich. Rodzice zrywają śpiące i zmęczone dzieci, zanoszą do przedszkoli lub pchają siłą do szkoły, obojętne już jakiego typu i na jakim poziomie. Tam mają się uczyć sprawnie, szybko, logicznie i samodzielnie, bo program duży, a lata nauki krótkie. W takich warunkach szkoła przejmuje na siebie funkcje uczenia, nauczania i całkowitego wychowania. Tym nadmiernym ciężarom nie jest w stanie podołać i wtedy zaczyna się kółeczko narzekań: szkoły podstawowe na rodziców, szkoły średnie na podstawowe i rodziców, a uczelnie wyższe wręcz wytykają, że licea ogólnokształcące i technika zawodowe zdecydowanie nie podążają za ich wymaganiami.

Czy z tego wynika, że szkoły źle organizują pracę, że nauczycielstwo nie jest przygotowane do pełnienia tak zaszczytnej roli lub oszczędza się? Jest przede wszystkim zapracowane i w pogoni za zarobkiem dodatkowym zatraca się. Nie ma kiedy pogłębiać swojej wiedzy nie podąża za najnowszymi zdobyczami, wyczerpuje magazyn dawno zdobytych wiadomości, wpada w rutynę, a w ostatecznym rozrachunku traci autorytet wśród młodzieży i rodziców.

Czas więc najwyższy, by w polityce oświatowej nastąpiły zmiany istotne i to wielokierunkowe.

Wymaga tego nasza sytuacja wychowawcza i ekonomiczna z jednej strony, a z drugiej trzeba zapewnić dorastającej młodzieży prawo do pracy i zarobkowania, zagwarantowane zresztą konstytucyjnie.

Przecież szybko musimy wyrównać zaniedbania techniczne, trzeba więc będzie podnieść przedmioty matematyczno-przyrodnicze i języki nowożytne, które bardzo są zaniedbane. Bez ludzi należycie przygotowanych nie dokona się tego, nic nie pomogą najbardziej rygorystyczne zarządzenia, najwyżej jeszcze bardziej zrazi się chętnych do pracy.

Napór młodzieży do bram fabrycznych, biur i różnych innych zakładów pracy będzie z każdym rokiem narastał.

Na przykładzie łódzkich szkół ogólnokształcących można wyprowadzić wniosek nie bardzo optymistyczny, jeśli idzie o zagwarantowanie nauki w nowoczesnym stylu, a przecież trzeba będzie z kolei pamiętać o wyszukaniu pracy nowym falom młodzieży.

Oto w br. liczba młodzieży w szkołach średnich w Łodzi wynosi 8.339 osób, w roku przyszłym klas VIII będzie o 52 więcej, a w 1965 r. ogółem uczniów w liceach ogólnokształcących będzie ponad 20 tysięcy. Obecne liczne roczniki szkół podstawowych wejdą do szkół zawodowych i ogólnokształcących. Wtedy dopiero będą trzeszczeć głowy naszym ekonomistom, socjologom i oświatowcom! Jak zapewnić tej młodzieży naukę, studia, pracę? To jest istotne zagadnienie przed którym stoi całe społeczeństwo, partia i rząd.

Zdrowy trzon naszej młodzieży musi być objęty troskliwą opieką, jej się należy najlepsze wykształcenie i najstaranniejsze wychowanie. W społeczeństwie nauki i pracy nie będzie miejsca dla wymoczków, próżniaków prostytutek i chuliganów. Samo życie zepchnie całe to tałatajstwo na boczny tor i nie będzie ono straszakiem dla dorosłego społeczeństwa, ani sprzymierzeńcem dla swoich rówieśników o zdrowych podstawach moralnych.

Ale dla zrealizowania tak górnych założeń potrzebny jest poważny, jasny i długofalowy plan działania. Nie można przecież w nieskończoność dreptać w miejscu z reformą szkolną.

Aż wstyd, tyle się mówi, że programy są przestarzałe, że treść materiału nauczania szczególnie z przedmiotów humanistycznych zanudziła już młodzież, nauczycieli, a nawet rodziców interesujących się tym zagadnieniem. Narzekamy, że młodzież nie jest wrażliwa ani na piękno, ani zło, ani dobro, że w najlepszym przypadku jest obojętna na ludzkie nieszczęścia, jeżeli nie wręcz cyniczna.

Ile jest w programie pozycji z literatury pięknej, które ten postulat spełniają wyraźnie? Krzywda i wyzysk tak są licznie obsadzone że młodzieży wydaje się że nic po prostu ludzkość nie mogła stworzyć lepszego. A przecież nieprawdą jest że młodzież wyzuta jest z uczuć. Trzeba jej tylko dać prawdziwy materiał poznawczy, aby obudzić w niej wszystkie odcienia szlachetnych uczuć od żalu do pogardy i nienawiści dla handlarzy resztkami życia ludzkiego.

Taką atmosferę przeżyć i wyobrażeń stwarza w X klasie nowela Marii Konopnickiej „Miłosierdzie gminy". W tym kierunku winna pójść zmiana programu z języka polskiego, by był czas i odpowiedni materiał na kształcenie wrażliwości i kultury uczuć u bądź co bądź egoistycznej młodzieży.

I jeszcze jeden moment pozostaje do podkreślenia, który był punktem wyjścia tych uwag. Trzeba mianowicie zmusić po prostu rodziców przez związki zawodowe do proporcjonalnego ponoszenia ciężarów wychowawczych wobec swoich dzieci. Szkoły nie można zamienić na przechowalnie dzieci i młodzieży, a z nauczycieli nie można uczynić dozorców i pielęgniarzy. Właściwe rozłożenie obowiązków wychowawczych między domem a szkołą pozwoli szkole lepiej wywiązać się z zadań dydaktycznych. I wtedy młodzież będzie dokładniej przygotowana do zawodu i studiów wyższych.

Fot. H nryk Kozakow

Z CUDAMI I BEZ CUDÓW

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

W jednym z zeszłorocznych numerów „Odgłosów" biorąc asumpt z wiadomości prasowej o „odczynianiu uroków" rzuconych na bydło w pewnej polskiej wsi, podałem garść informacji o średniowiecznych wierzeniach i przesądach na temat diabłów, czarownic i czarów. Od czasów średniowiecza bardzo wiele wody upłynęło we wszystkich rzekach świata, ale te olbrzymie masy wód nie zdołały jednak spłukać z powierzchni ziemi grubych warstw ciemnoty i zabobonu.

Wprawdzie, dzięki podróżom Kolumba, odkryciom Kopernika i Galileusza oraz późniejszym pracom setek znakomitych uczonych, ludzie przestali wierzyć, że Ziemia jest ogromną płaszczyzną, otoczoną ze wszech stron morzami, nad którą rozpościera się sklepienie niebieskie — siedziba nadprzyrodzonych mocy, a pod którą płoną ognie czyśćcowe i piekielne — pozostały przecież jeszcze na tym świecie rezerwaty myślowego ubóstwa, zacofania i łatwowierności, na których żerują bądź pospolici oszuści, bądź też ludzie nadużywający wzniosłych, uduchowionych słów i haseł dla celów zgoła przyziemnych.

Po dowody i fakty w tym względzie nie trzeba sięgać zbyt daleko — w czasy odległe i zamierzchłe. Wystarczy przytoczyć pewne sprawy i zdarzenia z końca ub. stulecia, aby przejść następnie do bliskiej i najbliższej nam współczesności. Oto parę wiele mówiących faktów.

* * *

W r. 1885 wielką sensację wywołało we Francji nawrócenie się wolnomyślnego publicysty Gabriela Pages'a, który pod pseudonimem Leona Taxila zaczął wydawać dzieła, przedstawiające masonerię jako ekspozyturę Belzebuba i pomniejszych szatanów na ziemi. Rewelacje Taxila zjednały mu poparcie, uznanie i wdzięczność najwyższych czynników kościelnych, ba! stały się nawet inspiracją do zwołania słynnego kongresu antymasońskiego w Trydencie (1896 r.), gdzie Taxil był honorowany jako mąż pełen cnót i zasług. Zachęcony powodzeniem Taxil przystąpił do publikowania „Pamiętników Diany Vaughan", młodej osoby, spłodzonej — jak twierdził — ze związku autentycznego diabła z pewną Angielką. Po dwunastu latach ożywionej działalności, syty laurów i zysków, Taxil — na zebraniu zwołanym specjalnie w jednej z największych sal Paryża — oznajmił wszem wobec, że cała ta jego działalność była „największą mistyfikacją naszych czasów", a wszystko co napisał i opublikował na tematy „diabelskie" jest jedną niebotyczną bzdurą, nie zawierającą ani słowa prawdy...

Właśnie w okresie najgłośniejszych wyczynów Taxila, bo w r. 1891, mnich — kapucyn z klasztoru w Wemding (Bawaria), o. Aurelian — za zezwoleniem właściwego biskupa — wypędził własnoręcznie (w ciągu dwóch dni — 13 i 14 lipca) diabła z opętanego chłopa, a w sprawozdaniu z tego doniosłego zabiegu, które złożył swym przełożonym, napisał m. in.: „Kto chciałby zaprzeczyć istnieniu opętania w naszych czasach, ten wyznaje równocześnie, że odstępuje od nauki Kościoła Katolickiego"...

W środowiskach dotkniętych obsesją diabelską istnieje zrozumiałe zainteresowanie bytowymi sprawami Belzebuba, Asmodeusza i innych książąt ciemności — sprawami, wśród których kwestia mieszkaniowa odgrywa niemałą rolę. Tym właśnie tłumaczy się powstanie dzieła pt. „Piekło" (1905), którego autor — dr Józef Bautz, profesor teologii z Monasteru udowodnił, że piekło znajduje się w środku Ziemi i wygląda mniej więcej jak rozpalony piec hutniczy, którego kominami są... wulkany. W ten sposób dr Bautz definitywnie rozwiązał problem wstrząsów i wybuchów wulkanicznych.

W tym samym czasie jezuita — Franciszek Schuppe — wydał swą „Naukę o czyśćcu", w której udowodnił bardzo drobiazgowo, że „dobry chrześcijanin, czuwający nad sobą, unikający grzechów śmiertelnych, oddający się pokucie i dobrym uczynkom, ściągnie na siebie mimo to w ciągu 20 lat karę 3 lat, 3 miesięcy i 15 dni czyśćca", co stanowić będzie, według autora, ekspiację za 30.000 po pełnionych drobnych grzechów i przewinień.

Okres następnych dziesięcioleci, w których ludzkość przeżyła dwie wojny światowe nie sprzyjał zbytnio postępowi „wiedzy demonologicznej" i w ogóle wpływał raczej hamująco na występowanie rozmaitych cudownych i nadprzyrodzonych zjawisk. Po roku 1945 znowu się to trochę rozkręciło i np. w naszym kraju, już w cztery lata po zakończeniu wojny, mieliśmy słynny „cud" w Lublinie, który przypłaciło życiem kilkanaście osób, zaduszonych i zadeptanych w tłoku nawy katedralnej.

Zaś w nr 6 (472) krakowskiego „Tygodnika Powszechnego" — z okazji stulecia znanego uzdrowiska w Lourdes — można było przeczytać artykuł ks. Machaga o mechanizmie i przebiegu zdarzających się w tej miejscowości seryjnie „cudownych" uzdrowień oraz o tym, że istnieje tam specjalne „biuro medyczne", które rejestruje i sprawdza te nadzwyczajności, aby je przedłożyć następnie władzom kościelnym do ostatecznego usankcjonowania. Rzeczone biuro odnotowało w swych kartotekach sporo interesujących wypadków, nie zdarzyło się jednak nigdy, by ktoś — po wykąpaniu się w lourdańskiej sadzawce — odzyskał amputowaną rękę lub nogę...

Skoro już mowa o „cudach", wypada przyznać, że w latach powojennych „cudów" drobniejszych mieliśmy w kraju wiele, zaś do rzędu poważniejszych należał „cud" w jednym z kościołów warszawskich jesienią r. 1959.

W tymże roku 1959 „Łunnik III" sfotografował niewidzialną z Ziemi stronę naszego satelity. A uczeni przepowiadają, że niedaleka jest już chwila, gdy wylecą rakiety kosmiczne z ludźmi na pokładzie... I proszę pomyśleć: to wszystko odbywa się i będzie się odbywać — bez cudów!

„WALET PIKOWY" CZEKA NA SŁOŃCE

— Stop! A Pan skąd się tu znalazł? Z Marsa? — Proszę o prawo jazdy
— Prawo jazdy? — Proszę. A nie widział Pan, panie władzo, Melanii?

Alfonso de Manuel Valet — czyli Jerema Stępowski — uwozi piękna Melanie (Janina Traczykówna). A jeszcze do tego paskudnie z nią postąpi, przepijając cały jej posag...

Ostatnia kontrola techniczna samochodu HPR-812 odbyła się wówczas, gdy marsowego milicjanta z Kompanii Ruchu nie było jeszcze na świecie... A jednak groźny „pan władza" nie wyciągnie żadnych konsekwencji wobec kierowcy. Znajdujemy się bowiem „na planie" filmowym — a wóz HPR-812 jest tylko rekwizytem do zjęć. Bądźmy spokojni — na Piotrkowską nie wyjedzie...

Kapryśna, kwietniowa pogoda nie sprzyjała filmowcom. W ciągu długich godzin oczekiwania na słońce — fotoreporter mógł spokojnie wykonać serię zdjęć i zasięgnąć języka o nowym filmie.

A więc — realizowany właśnie film, (który tyle zamieszania sprawił na spokojnej zazwyczaj ulicy) — nosi tytuł „Walet pikowy". Scenariusz napisali Halina i Tadeusz Chmielewscy według znanej i u nas powieści czeskiego pisarza Zenka Jirotki, p. t. „Człowiek z psem". Reżyseruje Tadeusz Chmielewski (autor „Ewa chce spać") — przy czynnej współpracy własnej żony. Film powstaje w zespole „Start".

„Walet pikowy" — stosownie do upodobań reżysera — będzie komedią. Dość niezwykłą komedią — bo rzecz dzieje się w bliżej nieokreślonym kraju. Sensacyjna fabuła opowiada o poszukiwaniu groźnego i nieuchwytnego aferzysty, Testona, który wodzi za nos całą policję europejską. Równolegle zaś toczy się inny wątek: sympatyczny, stary detektyw Kawanias kroczy śladami swoich dawnych wspomnień; przypomina sobie miłość do pięknej Melanii, którą uprowadził mu dzielny, acz lekkomyślny wojak...

A te kostiumy? Otóż właśnie, zasadnicza akcja — pościg za Testonem — toczy się w latach dwudziestych, a część retrospektywna, wspomnienia Kawaniasa — ukazuje nawet pierwsze lata naszego stulecia. Stąd właśnie — ów huzar i śmieszne auto...

Na zakończenie — słówko o aktorach. W blisko stuosobowej obsadzie role pierwszoplanowe grają znani aktorzy komediowi. W roli Kawaniasa występuje Czesław Roszkowski (uroczy notariusz Reguła z „Tysiąca talarów"). Domniemanym Testonem — „Grubasem" — jest ogromnie już popularny Stefan Bartik. Melanię gra znana łodzianom z audycji warszawskiej telewizji — Janina Traczykówna, a komisarza Maraca — Jarema Stępowski.

Obecnie ekipa „Waleta pikowego" przebywa na Wybrzeżu, gdzie nakręca pozostałe sceny. Później montaż, udźwiękowienie — i do zobaczenia na wesołej premierze!

Ejot

Melanio, Melanio! Ileż to kłopotów sprawiłaś mężczyznom...

Och! Jaka moda! Co robić? Ta przerwa tak długo trwa.

Za chwilę sprzed hotelu „Imperial" w Ostendzie wyruszy w nieznane super-nowoczesny kabriolet uwożąc Melanię w nieznane.

Tadeusz Chmielewski jeszcze raz omawia przebieg ujęcia. Za chwilę wszyscy na plan.

Zdjęcia:

KUDAJ

STANISŁAW CZERNIK

Nowe przekłady

Ludmił Stojanow, najwybitniejszy współczesny poeta bułgarski, członek Światowej Rady Pokoju, ur. w 1888 r. Wiersz „Nie mogę bez ludzi" należy do najpopularniejszych utworów Stojanowa, znany każdemu niemal Bułgarowi z lektur szkolnych i występów recytatorskich.

Elisaweta Bagriana, znakomita poetka starszego pokolenia. Wiersz jej „Potomka chanów" jest powszechnie znany w Bułgarii.

Blaga Dimitrowa, wybitna poetka młodszego pokolenia. Jej dziełem jest znakomity przekład „Pana Tadeusza", który ukazał się w zeszłym roku po trzynastu latach wytrwałej pracy. Wiersz „Pogróżka" pisany pod ton pieśni ludowej, oddaje nastrój młodzieży bułgarskiej pracującej przy budowie nowych miast.

LUDMIŁ STOJANOW

Nie mogę bez ludzi

Droga, po której się wspinam,
wciąż spokojnie wychyla się wprzód.
Umęczone słońce rozpoczyna
z rozkwitniętych drzew wysysać miód.

Gdzieś tam niżej pozostało pole,
jak jezioro z jasnym czołem wód,
I dzieciaki na polu wesołe,
gdy mi niosły niw soczysty płód.

Potem cichy starzec, co go lekko
pozdrowiłem ledwie kątem ust,
a on szczere „Bóg zapłać", z uciechą
mówiąc, zniknął wśród uśpionych zbóż.

I koliba, kędy pośród drwali
przeczekałem aż przeminie deszcz,
i dziękując szedłem znowu dalej,
chwilę szczęścia niosąc z tamtych miejsc.

Niegdyś ludzie ci — dla mnie świat cudzy,
jak kamienie albo piórka traw.
Ale dzisiaj wciąż w duszy się budzi
przypomnienie ich twarzy i spraw.

Znów przerzucę się przez górskie ścieżki,
by na drugą stronę, w pola zejść,
gdzie pod stropem nieba czarodziejskim
żółta niwa lśni i biała wieś.

I usiadłszy nad potokiem chyżym
pośród chabrów, perzu, dzikich ziół,
ich postacie w wspomnieniach naniżę,
i nie będę się samotny czuł.

Nie, nie mogę, nie mogę bez ludzi,
nie obejdę się bez ludzkich słów.
Gdzie mówiących dwóch w polu się trudzi,
Z oddalenia jestem brat tych dwóch.

ELISAWETA BAGRIANA

Potomka chanów

Bez portretów moi praojcowie,
i herbarzy też nie ma mój ród.
Nie została po nim wieść ni powieść,
nie wiadomo, jakie życie wiódł.

Lecz wiem, tętni we mnie ich przedwieczna
koczownicza, niepokorna krew,
ona grzech mi zsyła niebezpieczna,
nocą budzi mnie ze snu jej gniew.

Praprababkę może czarnooką,
strojną w turban jedwabny i szal,
niegdyś nocą — północą głęboką
chan szlachetny uwiózł w obcą dal.

Może tętent ów końskiego cwału
po równinach nad Dunajem grzmiał,
i oboje zbawił od kindżału
wiatr, co ślady ich ucieczki zwiał.

I — potomka — pokochałam zatem
nieobjętych pól szeroki świat,
i bieg konia smaganego batem,
i głos wolny porwany przez wiatr.

Może jestem grzeszną i zdradziecką,
może los mnie wśród dróg złamie zły —
alem córka twoja, wierne dziecko,
ziemio, matko najmilsza mej krwi.

BŁAGA DIMITROWA

Pogróżka

Zorzeńko — siostrzeńko,
o świcie mnie zbudź,
i rosą jak łezką
ostatek snu zrzuć.
Zbierają się, idą
za gór siny szczyt
do miasta, co jeszcze
nie nazwał go nikt,
gdzie cienia wciąż nie ma,
ni dymu z komina.

Gromadzą się, idą
młodzieńcy, dziewczęta,
jak gdyby na święto
z ochocza piosenką.
A mnie nie zwywają:
— Bo gdzież tobie iść,
gdy w głowie ci tylko
i śmiech i zaczepki,
i pląs korowodu,
i lekkie przyśpiewki.

Zorzeńko — siostrzeńko,
o świcie mnie zbudź,
i rosą jak łezką
ostatek snu zrzuć.
Ja pierwsza wybiegnę
za gór siny szczyt
do miasta, co jeszcze
nie nazwał go nikt,
gdzie cienia wciąż nie ma,
ni dymu z komina.
Rękawy wzorzyste
podwinę, zakaszę,
rumianą piwonią
wśród słońca zabłysnę,
i głazy pokruszę,
i tak się rozruszam,
że echo zadźwięczy
w dabrowie, wśród drzew,
niech wszyscy poznają,
co może mój śpiew!

Pojedynek

Arystokraci walczą z demokratami na intelekt albo na pięści. Sportowcy wynajmują się jednym, albo drugim za ściągawki i pożyczki oddawane na „święty nigdy". Profesorowie też są albo demokratami, albo arystokratami. Teraz jest zawieszenie broni. Książę pojedynkuje się z Buczackim z powodu kobiety. Sekundują mu demokraci. Jeden z wybitnych arystokratów padnie za chwilę pod ciosem szabli. Który?

Punktualnie o godzinie piętnastej zero, zero, odezwała się chrapliwie kukułka chora na gardło. To Dzik zawiadamiał, że nadchodzą już uczestnicy wielkiego pojedynku. Sekundanci ustawili się parami po obu stronach pola bitwy. Dwie zapasowe szable, dopiero co wbite w ziemię kołysały się lekko.

Po chwili wkroczyli na polanę obydwaj wielcy przeciwnicy — Książę i Buczacki. Patrzyli przed siebie, maszerowali krok w krok. Wysmukły Książę bardziej jeszcze blady niż zwykle i przysadzisty Buczacki, rumiany, uśmiechnięty ironicznie. W pewnej odległości za nimi sunęli sztywno przedstawiciele stron walczących, Mazagrin i Lutowiecki, obaj wystrojeni na czarno, obaj z szablami w dłoniach.

Książę skręcił na prawo, Buczacki na lewo, to samo uczynili ich przedstawiciele. Lutowiecki wręczył szablę Miazdze, Mazagrin roztrzęsionemu Justynowi. Zgodnie z programem pojedynku Justyn zbliżył się do Buczackiego.

— Czy nie widzi pan możliwości polubownego załatwienia sporu? — zapytał błagalnie — ja mam od samego początku niedobre przeczucia.

— Ależ, panie! — Buczacki roześmiał mu się w nos. — Absolutnie nie widzę takiej możliwości!

Po drugiej stronie placu odpowiadał Książę na to samo pytanie.

— Nie, panie, tylko krew może zmyć wyrządzoną krzywdę mojej czci i czci kobiety — głos Księcia drżał.

— Źle — pomyślał Miazga — boi się.

Sekundanci wręczyli szable walczącym. Obaj wybitni arystokraci zeszli się pośrodku placu, wykonali dwa piękne ukłony, zwarli się następnie plecami, sprezentowali zgrabnie broń, poszli trzy kroki przed siebie, odwrócili się, przyczaili na zgiętych i szeroko rozstawionych nogach, wyciągnęli ręce uzbrojone w szable i tak jakoś nieznacznie, zwykle, rozpoczął się największy i jedyny pojedynek w dziejach starej szkoły. Jeszcze tego samego wieczoru spowiła to wydarzenie legenda. Odtąd już każdego niemal dnia zyskiwał pojedynek nowe i nieoczekiwane szczegóły, aż w trzecim pokoleniu sztubackim przestał być podobny do siebie.

Jedenaście par oczu śledziło uważnie dwie sylwetki, tańczące po leśnej polanie. Książę nie miał żadnych szans, Buczacki napierał energicznie, wydawało się, że jeszcze chwila, jeszcze sekunda, a wytraci Księciu szablę i poleje się krew.

Może właśnie dlatego wszyscy poczuli sympatię do słabszego Księcia i zaczęli go już wspominać jak umarłego.

Bogaty szykowano mu nagrobek! Książę wniósł w stare mury szkoły wzruszającą legendę o swoim własnym pochodzeniu. Ileż razy jej wysłuchali! Gdzieś pod Neapolem, w maleńkim miasteczku Trampolino, dokonał w samotności żywota dziad Księcia, bohaterski powstaniec z roku 1863. Dziad przewędrował z partią Langiewicza okolice, które znali wszyscy od dzieciństwa. Bił się pod Małogoszczą, ukrywał nad brzegami Wiernej Rzeki, w Puszczy Jodłowej, stał obozem na chęcińskim zamku, organizował zasadzki w wawozie samsonowskim, biwakował także i tu, na polanie, gdzie teraz walczy jego wnuk o honor kobiety. Stary wygnaniec żył z resztek magnackiej fortuny, fortuny olbrzymiej, obejmującej wielkie połacie Ukrainy. Musiało mu, mimo klęsk, pozostać wiele złota, skoro jeszcze i dziś wspominają starzy Włosi jego hojność, „buono Polacco" — powiadają, składając wieńce na jego grobie. Kilkadziesiąt lat temu bawił we Włoszech Henryk Sienkiewicz, jechał po papieskie błogosławieństwo ze świeżo poślubioną żoną. Wielki pisarz radził się wygnańca co do szczegółów Trylogii...

W tym miejscu Książę przerywał skromnie i tylko na gorące prośby decydował się ciągnąć dalej opowieść. Rzeczy były nadzwyczajne.

Jak wiadomo — Skrzetuskiego nigdy nie było. Skrzetuski to wierna kopia prapraprapradziadka Księcia. Sienkiewicz bardzo pragnął nadać czołowej postaci swojego dzieła prawdziwe nazwisko, ale dziad Księcia, z właściwą całemu rodowi skromnością, wymówił się stanowczo. Owszem, pokazał pisarzowi wiele bezcennych dokumentów, naświetlił epokę, przekazał cenne dokumenty, które z trudem ocalił. Słowem, oddał wszystko co potrzebne było do napisania arcydzieła, ale nazwiska dać nie chciał.

Książe Jerzy Ostatni, bo i tak nazywano go w szkole, nie zawsze co prawda lubiany, umiał jednak wzbudzać respekt, a przede wszystkim zainteresowanie dla swojej osoby. Księcia otaczała zawsze atmosfera niezwykłości. Chociażby sprawa uczuć, jakimi darzył Izę Kropielnicką, którą nazywał wojewodzianką. Nie była to, na ile można sądzić, miłość szczęśliwa. O niepowodzeniach świadczyła blada, zmizerowana twarz Księcia, dyskretny smutek, przesłonięty wytwornym i bolesnym uśmiechem. Książę cierpiał godnie, o radę czy pomoc nigdy nie prosił.

— To bardzo indywidualna sprawa, wiesz przecież, nie taję tego, jestem indywidualistą, dzięki za serce — mawiał, ilekroć próbowano mu okazać życzliwość.

To był jednak styl, imponująca niedostępność, która sprawiała, że każda, nawet najmniejsza poufałość ze strony Księcia, przynosiła zaszczyt. I teraz Książę wyraźnie schodził z tego świata, jeszcze chwila, a zabije go syn dziedzica. W całej szkole jeden tylko Miazga cieszył się równą, a może i większą sławą. W tej rywalizacji dwóch wybitnych jednostek Buczacki zupełnie się nie liczył, mimo znacznego powodzenia u dziewcząt z powodu wierzchowca, którym objeżdżał miasto. Zazdrość bywa najczęściej rodzoną matką nienawiści. Buczackiego otaczała ze strony kolegów wyraźna niechęć. „Hrabia Walgodeską", „Hrabia de Bidegoni" wołano za nim.

Sława Miazgi, zupełnie innej natury niż Księcia, wybiegała daleko poza szkołę. Już same jego wiersze kolportowane szeroko stanowiły sensację. Daremnie próbował Książę skompromitować swojego kolegę po piórze. Dowodził uczenie, że Miazga to poeta archaiczny, a przede wszystkim za dużo, nieprzyzwoicie dużo, pożycza sobie od Kasprowicza. W opinii szkolnej były to jednak fakty bez znaczenia. Miazga zyskał opinię „odważniaka" i to się liczyło. Pewne, niekiedy nawet zadziwiające zbieżności z Kasprowiczem, dodawały mu tylko splendoru. Kasprowicz to przecież dobry poeta. Miazga wywoływał wierszami samego pana Boga z gwiezdnego podwórka zapraszał nie nazbyt uprzejmie na ziemski padół, chciał sobie ze stwórcą pogadać przy płocie o zwykłej ludzkiej biedzie, spodziewał się że razem, jakoś tej biedzie zaradzą. Drugi Żeromski rosnie — mówiło się o Miazdze. Cicha, nieoficjalna fama, roznoszona poufnie „pod chajrem" przez emisariuszy Miazgi wieńczyła poetę dodatkowym laurem.

— Miazga należy potajemnie do „Wici", Miazga reformator społeczny, Miazga nie wierzy ani w niebo, ani w piekło, sam pan premier Składkowski, też uczeń naszej budy, pisze do niego listy, żeby się nawrócił!

I Miazga wyrobił sobie swój styl życia, zupełnie jednak odmienny od dworskich manier Księcia. Zaskakiwał swoją chłopskością, szokował powiedzeniami tak oryginalnymi, że dziewczęta z najlepszych domów — obie panny Gniewoszówny prawdziwe przecież wojewodzianki, panny Grzybickie, Jaszczołtówny, Abdańska, Dzierzgówna, czy Colonna, wyrywały go sobie z rąk. Miazga to prawdziwa ozdoba każdego pokoju panieńskiego, każdego saloniku. Zwyczajem premiera Witosa pojawiał się wszędzie w lnianej koszuli, bez krawata, w starej baranicy na głowie, często w wysokich butach. Siadał tylko na zwykłych, niewyściełanych krzesłach i deklamował buntownicze wiersze. Jego nieoczekiwane wypowiedzi długo wędrowały po dziewczęcych alkowach.

— Wiesz? Mnie nazwał kwiatem tuberozy, który zerwie brutalnie, po chłopsku! Jak on to zrobi?

— To jeszcze nic, mnie powiedział, że jestem prasłowiańską samicą i wabię go na jaworowe gody. Mój Boże! Jak myślisz, czy to prawda?

— A mnie powierzył swoją największą tajemnicę. Jest potomkiem sławnego zbója świętokrzyskiego, samego Kaku. Kak porywał najpiękniejsze dziewki, tak powiedział — dziewki, gwałcił je i żył przez pewien czas z każdą w Puszczy Jodłowej pod Gołoborzem. Powiedział, że nadchodzi właśnie moja kolei. Mon dieu! A cóż to za interesujący mężczyzna! Moja kolei nadchodzi...

Dobrze, że życiu Miazgi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Tymczasem na polanie wciąż jeszcze ważyły się losy wielkiego pojedynku. Buczacki nacierał w dalszym ciągu energicznie, próbował karkołomnych pchnięć. Szable krzyżowały się gęsto, ale nawet mało obeznany z bronią Szopen poznawał bez trudu, że obaj przeciwnicy nie tędzy byli w sztuce krzyżowej, z której słynęli przed laty ich przodkowie. Tyle tylko, że Książę słabł coraz wyraźniej.

— Za Boga świętego nie pojmuję tego — Puchała ukryty wraz z resztą w gęstej leszczynie otwierał szeroko oczy — machają szablami jak wiatraki, jeszcze się porąbią na szczapy!

— Głupiś, kmiotku siermiężny — wyjaśniał szeptem Racibor — mają tępe szable, tylko żaby nimi rezać, mogą się tylko poprzebijać na śmierć, lub pogruchotać śmiertelnie kości, nic więcej, trzeba skończyć to przedstawienie.

— To jest, moim skromnym zdaniem, walka o byt, odwieczne prawo natury, walka dwóch samców — w Szopenie obudził się intelektualista.

— A o co się tak rżną? — zapytał Malinka.

Tramencourt nie zdążył odpowiedzieć. Buczacki podbił szablę Księcia i ciął go końcem ostrza przez twarz. Trysnęła krew, na polanie pojawiła się śmierć. Książę, wyraźnie podniecony, dobył z siebie resztek siły, natarł rozpaczliwie i okrwawiony, straszliwy, pędził Buczackiego przed sobą aż do liny. Jeszcze sekunda i młody dziedzic padł na ziemię. Martwą ciszę rozdarł jego bolesny okrzyk.

...Zabił mnie, zabił, odchodzę bezpotomnie!

Raz jeszcze pojawiła się śmierć. Prawa ręka Buczackiego ociekała krwią, szabla odrzucona przez Księcia, spadła aż pod leszczyną. Sekundanci, niezależnie od tego czy Buczacki miał żyć, czy też nie, zamierzali już ogłosić zwycięstwo Księcia, który stał spokojnie i próbował zatamować krew, kiedy Buczacki zerwał się błyskawicznie, skoczył w stronę leszczyny, chwycił szablę w połowie jak oszczep i zamierzył się na Księcia. Po raz trzeci pojawiła się śmierć na polanie, obok wieży triangulacyjnej.

— Koniec ze mną — pomyślał potomek Skrzetuskiego.

Nim jednak zdążył zawołać rozpaczliwie o pomoc, Puchała wystrzelił wielkimi susami z krzaków jeden, dwa, trzy skoki i Buczackiego schwyciły mocne ramiona.

— Ty byku niedojony, ty chamie! — zahuczało w lesie — człowieka chcesz zakatrupić, gnojku jeden! Kupi se dziedzic nowego jak ten zdechnie, co?

Rozluźnił uścisk, wyrwał Buczackiemu z ręki szablę i spokojnie, na zimno, wymierzył mu dwa tęgie policzki. Młody dziedzic runął na ziemię, jak drzewo podcięte ręką doświadczonego drwala.

— Czyś ty go, kmiotku, aby nie zabił — Racibor pochylił się nad leżącym — masz, brachu, grabę jak podolski złodziej!

Książę dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że otacza go co najmniej połowa kolegów z ławy szkolnej. Próbował opanować ból, próbował nawet uśmiechu, pragnął podziękować Puchale za uratowanie go od niechybnej śmierci, stwierdził jednak przy tych próbach rzecz straszną — głos wiązł mu w gardle, stracił dźwięk, na zewnątrz wydobywało się tylko jakieś zwierzęce chrapanie.

Chorwat, jako prezes szkolnego koła Polskiego Czerwonego Krzyża, przystąpił z wielkim zapałem do opatrywania ran. Na oko można było wnosić, mimo straszliwych krzyków Buczackiego, że obejdzie się bez grabarza, chirurga, a nawet szpitala.

— Mam rozprutą żyłę, krew ze mnie uchodzi, umrę na tej polanie, umrę bezpotomnie!

— Dać mu wódki! — rozkazał Miazga.

Socjalista, podczaszy wielki koronny, odlał pół szklanki mocnego wiśniaku. Buczackiego uniesiono delikatnie, ale młody dziedzic pił niechętnie, tylko dla podtrzymania resztek życia, które wciąż jeszcze tliło się wewnątrz potężnego ciała.

— A śliwowicy nie macie, albo starki? — zapytał głosem człowieka, który staje już na progu zaświatów.

— A kopniaka chcesz? — odpowiedział rzeczowo Dzik.

Konsylium, składające się z Chorwata, Malinki biegłego w medycynie wiejskiej, oraz Szopena, który znał ciało i duszę ludzką od strony naukowej orzekło, że rana Buczackiego nie jest z gatunku śmiertelnych.

— Umieram w straszliwych mękach, już mnie nie ma — pokrzykiwał nadal Buczacki.

— Nie dobrze czułby się lekarz, gdyby wszyscy czuli się dobrze, powiedział Publius Syrus, będziesz żył i to jest największe dla nas nieszczęście — Chorwat wylał bez litości całą flaszeczkę jodyny na rękę dziedzica, obłożył watą zdarty płat skóry i zabandażował.

Książę zniósł mężnie bolesne przemywanie zakrwawionego policzka. Spirytus szczypał do granic wytrzymałości, cała twarz płonęła. Dopiero plaster, imponujące samymi tylko rozmiarami dzieło Chorwata, przyniósł mu pewną ulgę. Jak ja im powiem, że nie mogę mówić — myślał

(Dalszy ciąg na str. 11)

Tramencourt

najprzystojniejszy arystokrata w mieście, nazywany Księciem Paryża i Okolic. Założyciel jedynego na świecie muzeum miłości. Pożeracz serc.

Lutowiecki

wpływowy arystokrata, syn wicewojewody.

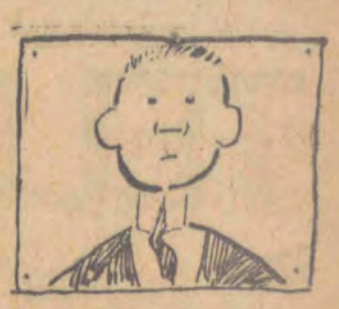

Mazagrin

bogacz, kasjer obozu arystokratów.

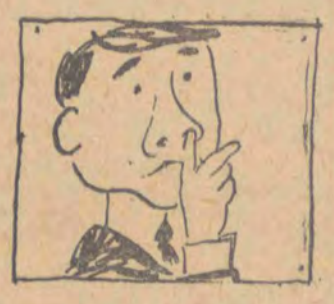

Mróz

kandydat do sutanny, „święty z kuriera wycięty".

Florek

wódz stronnictwa sportowców. Bardzo zły uczeń.

Porajówna

najpiękniejsza uczennica w mieście. Pożąda sławy.

TELE wizja

Nawiązując do...

„naszego czupurnego artykuliku pt. „Święty eksperyment!?", w którym postulowaliśmy telewizyjną realizację sztuki Karola Obidniaka pt. „Pokój pełen dymu", donosimy niniejszym, co następuje:

Otóż w ubiegłym tygodniu odbyło się posiedzenie Komisji Kultury RN m. Łodzi poświęcone analizie repertuaru teatrów łódzkich. W końcowej — jednomyślnie podjętej — uchwale Komisji znalazły się m. in. wyrazy uznania dla dyrekcji Teatru Powszechnego za śmiałe wyjście naprzeciw repertuarowi współczesnemu i wystawienie sztuki Obidniaka.

W trakcie dyskusji padło również wiele cierpkich słów pod adresem niezrównanego Zespołu dla Spraw Teatru, mówiono nawet o nim per „urzędasy" i tak dalej.

Skoro tedy ojcowie miasta, skoro Komisja Kultury RN m. Łodzi są ZA sztuką i za eksperymentem, a PRZECIW mechanicznemu i bezdusznemu tepieniu jej przez wspomniany Zespół dla Spraw Teatru (powiedzmy wręcz: „Pokój pełen dymu" dostał zezwolenie tylko na Łódź i tylko na dwadzieścia spektakli), to czemuż łasa chyba na pochwały dyrekcja ŁOT, nie ma zaryzykować!?

Pokażmy sztukę Polsce, zaprośmy do telewizorów rodziców i chuliganów, zaprośmy młodych ludzi z wielu rozrzuconych po kraju pokojów pełnych dymu i zapytajmy ich, co o tym wszystkim sądzą.

Uprzedzamy że jesteśmy uparci i potrafimy tak aż do skutku. Albowiem przeczytaliśmy gdzieś (zgadnijcie gdzie) bystrą sentencję: powtórzyć swoje zdanie 100 a 101 razy, to jest jednak wielka różnica...

Co się ostatnio w telewizji podobało

W sobotę podobał nam się Plebiscyt Piosenki prowadzony przez Kazimierza Rudzkiego, szczególnie zaś podobała nam się Kalina Jędrusik w piosence „Nie trzeba nam nikogo" będącej, jak się zdaje małą parodią piosenki „Nie oczekuję dziś nikogo".

Zawsze jesteśmy za konkretem i rzeczywistością na ekranie TV. Stąd wyrazy uznania dla realizatorów audycji o tradycjach polskiej armii przygotowanej z okazji 15-lecia zakończenia wojny. Audycję prowadził znakomicie Jerzy Broszkiewicz, bardzo dobrze spisali się też jego interlokutorzy.

Dalej! Jak zwykle z niecierpliwością oczekiwana audycja „Uczymy się patrzeć na dzieło sztuki" przygotowana przez Ignacego Waniewicza (tegoroczna nagroda telewizji z okazji Dni Prasy i Książki) a świetnie prowadzona przez docenta doktora Białostockiego.

Wcześniej nieco nadana była kolejna audycja z cyklu „Sekrety Polihymnii", przygotowana przez telewizję poznańską, a nadana jak zwykle z łódzkiego studia. Konwencja rozmowy (zresztą takiej z dystansem do tematu i z dużym nieraz dowcipem), rozmowy z diabłem, konwencja umożliwiająca wskrzeszanie obrazów i zdarzeń z dziedziny muzyki — jest zupełnie do przyjęcia. Tym bardziej, że świetnie podkładana muzyka i głosy (metodą pleyback), dobre aktorstwo wykonawców ról operowych jak i rozmówców, piękna muzyka, wszystko współgrało i tworzyło jedną miłą dla oka i ucha całość.

To i owo ze świata telewizji

Japonia cierpi na plagę telepajęczarzy. Na plagę bardzo nawet dotkliwą: jak obliczają fachowcy, liczba bezprawnych użytkowników telewizji w „kraju kwitnącej wiśni" wynosi około miliona przy trzech milionach zarejestrowanych telewizorów.

* * *

W 1959 r. wzniesiono we Włoszech 125 stacji telewizyjnych. Ogółem działają obecnie w tym kraju 272 stacje TV.

* * *

...Jedna ze stacji telewizyjnych w San Francisco rozpisała wielki konkurs na najstarszego (wiekiem) widza. Na pierwszym miejscu uplasowała się 97-letnia Mary Black, z którą oczywiście natychmiast przeprowadzono wywiad w studio. Na pytanie co jej się najbardziej podoba w programie telewizyjnym, staruszka odpowiedziała bez wahania:

„Kiedy mogę siedzieć przy telewizorze z zamkniętymi oczami wówczas bowiem mam wrażenie, że słucham radia".

* * *

Spośród 30 spikerek zatrudnionych w telewizji w Rio de Janeiro 27 wstąpiło w ostatnim roku w związki małżeńskie. Co ciekawe — tylko jedna wyszła za mąż za wielbiciela, który zakochał się w niej z ekranu, inne dobrały sobie mężów zupełnie — jeśli tak można powiedzieć — prywatnie, chociaż każda z nich zasypywana była przez widzów telewizyjnych ofertami matrymonialnymi. Najdłuższa z nich zawierająca 70 stron maszynopisu (!) była dziełem zakochanego właściciela plantacji kawy, do której dołączony był czek na pokaźną sumę pieniędzy. Oferta została odrzucona, a czek zwrócony. Podobno...

Nie wierzę telewizji!

Panie Redaktorze!

Jestem tym przeciętnym widzem telewizji, którego wzór wypracowali sobie realizatorzy programów na podstawie własnych obserwacji i dociekań filozoficznych. A więc odbieram wszystko dosłownie, wszystko co się na ekranie mówi uważam za prawdę, nie rozumiem żadnej metafory, żadnej przenośni, żadnego dowcipu z wyjątkiem takiego o d.... I dlatego jestem nieszczęśliwy! Dlatego, że zaufałem, że uwierzyłem! Bo w ostatniej audycji „Wszystkie dni tygodnia" były takie dwie rzeczy, które przyniosły tragiczne skutki. Po pierwsze, uwierzyłem pewnemu łódzkiemu poecie, który twierdził, że „wiersze rodzą się u poetów z miłości do kanapy, do zgniłych jabłek, do salcesonu a u niego wiersze rodzą się z miłości do honorarium". Uwierzyłem wielkiemu poecie i zaraz potem w towarzystwie powiedziałem poważnie, że wiersze rodzą się z miłości do kanapy. Wyśmiano mnie.

Ale to jeszcze nic! Potem demonstrowano zdjęcia filmowe, a następnie redaktor magazynu przeprowadził wywiad na temat pewnego urządzenia elektrycznego, które uruchomiono na Politechnice. W urządzeniu tym powstają napięcia rzędu kilku milionów woltów. Pan redaktor, który miał przy sobie adiunkta katedry PŁ, współtwórcę urządzenia (nie dopuszczał go zresztą do słowa) dla porównania wysokości napięć z napięciem naszej sieci na peryferiach miasta powiedział, że np. przewód elektryczny, w którym płynie prąd o napięciu 120 woltów można śmiało wziąć do ręki i najwyżej nas lekko szarpnie natomiast napięcie kilku milionów woltów mogłoby nam zrobić już niepowetowaną krzywdę. Uwierzyłem panu redaktorowi i natychmiast włożyłem palce do kontaktu. Doznałem silnego porażenia elektrycznego mam poparzoną rękę, a lekarz oświadczył: Na szczęście ma pan silne serce, bo inaczej...

Sam Pan rozumie, Panie Redaktorze, że zdarzenia, o których pisze zachwiały nieco ma bezgraniczną wiarę i takimż zaufaniem do prawd głoszonych przez telewizję łódzką. Teraz już nie wierzę ani w nieszkodliwość napięcia 120 czy 220 woltów, ani w to, że wiersze piszą poeci z miłości do zgniłych jabłek i salcesonu. Wierzę natomiast głęboko że niektórzy redaktorzy w telewizji i niektórzy poeci robią z nas przeciętnych telewidzów nieprzeciętne „balony" w określonym dla siebie celu. Nawet Gałczyński, którego przypadkowo gdzieś przeczytałem powiadał o takich panach:

Zgadza się. Cudnie. Błędu ani troszki
Kasjerce wdzięczność wyrażasz na migi.
A potem twoje są wszystkie dorożki
I wszystkie kwiaty, wszystkie makagigi.
O, kiedy wiersze stają się monetą
Cóż to za rozkosz być wtedy poetą.

No i dziennikarzem magazynu „Wszystkie dni tygodnia". Nieprawda Panie Redaktorze?

HORACY BĄCZEK

PS. Swego czasu zamieściliście list w sprawie małego skandalu z telewizyjnym konkursem na postać telewizyjną. Czy otrzymaliście może jakieś wyjaśnienia? Jeżeli tak to dlaczego ich nie opublikujecie?

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

12. V. Czwartek: Godzina 17. Sprawozdanie z zakończenia IX etapu na trasie Poznań—Frankfurt. Recital fortepianowy Bolesława Woytowicza nadadzą Katowice o godz. 19.15. Program dokumentalny pt. „Bolków leży nad Nyssą" godz. 20.15. O 20.50 teatr sensacji „Kobra" prezentuje widowisko sensacyjne Janusza Jaxy pt. „Zabiłam".

13. V. Piątek: O godz. 17 sprawozdanie z zakończenia X etapu Wyścigu Pokoju na trasie Frankfurt-Drezno. O godz. 18.35 polecamy audycję z cyklu „Sylwetki kompozytorów" przygotowaną przez TV-Poznań, a nadawaną z Łodzi. Z Teatru Polskiego we Wrocławiu o godz. 19.30 transmitowane będzie „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego.

14. V. Sobota: Godz. 17 transmisja z Wyścigu Pokoju (zakończenie XI etapu na trasie Drezno-Lipsk). Godz. 20.10 recital skrzypcowy Leonida Kogana. O 20.45 wyświetlony będzie film prod. włosko-hiszpańskiej pt. „Mężczyzna w spodenkach" i o 22.35 radzimy obejrzeć kolejny spektakl „Kabaretu starszych panów" pt. „Druga wiosna".

15. V. Niedziela: Godz. 15.15 Finał I Olimpiada Motoryzacyjnej. Godz. 17. Sprawozdanie z zakończenia XII etapu na trasie Lipsk—Halle—Magdeburg. Godz. 19.30 z Katowic operetka Straussa „Czar walca".

Warto zobaczyć

Warto zobaczyć w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza niezwykle ciekawą wystawę pod nazwą „Łódź w plastyce".

Na wystawie eksponowane są prace prawie wszystkich łódzkich plastyków — prace w najrozmaitszych technikach od grafiki do „oleju".

A swoją drogą, któż by przypuszczał, że zadymiona Łódź może być tak wdzięcznym terenem dla malarzy. Że tak jest w istocie przekona każdego wspomniana wystawa.

Zjazd polonistów

W tych dniach zakończył się we Wrocławiu Ogólnopolski Zjazd Młodych Polonistów. Łódzkie środowisko studenckie reprezentowało kilkunastu studentów przeważnie IV i V roku Wydziału Filologii Polskiej UŁ.

Autorami jedynego „łódzkiego" referatu pt. „Spór Irzykowskiego ze Skamandrem" były (podkreślamy to z dumą) dwie współpracowniczki „Odgłosów" pp. Elżbieta Wróblewska i Ewa Nurczyńska.

W zjeździe udział wzięli również profesorowie Katedry Historii Literatury UŁ, dr dr Aniela Kowalska, Zdzisław Skwarczyński i Samuel Sandler.

„Polesie" na Karolewie

Związkowi Zawodowemu Pracowników Filmowych należą się duże brawa. Bowiem z jego to inicjatywy otwarto kilka dni temu na Karolewie nowe kino.

Otwarcie nastąpiło z wielką pompą i namaszczeniem, co nas specjalnie nie dziwi, bowiem „Polesie" (taką nazwę nosi nowo otwarte kino) dla mieszkańców Retkini czy Karolewa jest placówką niezwykle potrzebną. Dotychczas musieli oni na każdy film wędrować aż na Żeromskiego do kina „Przedwiośnie".

Żeby tak jeszcze wymieniono w „Polesiu" szkolne pulpity na jakieś „ludzkie" krzesła, radość nasza byłaby zupełna.

Co w teatrze

W Teatrze Nowym reż. Janusz Warmiński przygotowuje premierę „Hamleta" z Michałem Pawlickim w roli tytułowej.

W najbliższych planach repertuarowych Teatru Powszechnego znajduje się natomiast sztuka Dario Fo pt. „Archaniołowie nie grają w bilard". Kim jest autor i o czym mówi sztuka nie wiadomo.

Wiadomo natomiast co mówiono o łódzkich teatrach na ostatnim posiedzeniu Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi. Otóż podnoszono ambicje repertuarowe większości teatrów, ilość prapremier, ciekawe próby wyjścia naprzeciw współczesnemu repertuarowi...

Słowem — jak stwierdził naczelnik Wydziału Kultury Ryszard Stefańczyk — ocena łódzkich teatrów wypadła nader pozytywnie.

Warto przeczytać

Naprawdę warto przeczytać książkę Edwarda Kurowskiego pt. **„Kroki w samotności"**. Autor — kierownik hotelu robotniczego — napisał niezwykle ciekawą, pełną interesujących obserwacji powieść. Książkę Kurowskiego czyta się z niesłabnącą uwagą i w całym tego słowa znaczeniu jednym tchem. Wydawca jej jest Wydawnictwo Łódzkie.

Ze wszech miar godny polecenia jest wydany także przez Wydawnictwo Łódzkie zbiór arcyciekawych dowcipnych reportaży Waldemara Babinicza pt. **„Listy z parafii"**. Autor dał interesujący obraz polskiej prowincji ze wszystkimi jej śmiesznostkami i przywarami.

A teraz coś wyłącznie z łódzkiego podwórka. Leon Gomolicki wydał w Wydawnictwie Łódzkim uroczy zbiorek łódzkich legend, zdarzeń, opowieści sprzed kilkudziesięciu lat. Książka nosi tytuł **„Wieczory nad Łódką"** i wydaje się, że każdy prawdziwy łodzianin powinien ją przeczytać.

Druga rdzennie łódzka pozycja jest **„Pamiętnik nauczyciela"** Adama Kowalskiego. Pamiętnik nagrodzony został na ogólnopolskim konkursie Związku Nauczycielstwa Polskiego, całkiem zresztą zasłużenie. Książkę stanowią ciekawe wspomnienia z pracy w tajnym nauczaniu w okresie okupacji hitlerowskiej. Znający Łódź czytelnicy bez trudu odnajdą w utworze dzielnicę Chojny, gdzie autor działał, mieszkał i pracował.

Nie trzeba, rzecz prosta, dodawać, że wydawcą tej pożytecznej książki jest również Wydawnictwo Łódzkie.

I wreszcie informacja. W pozycje Wydawnictwa Łódzkiego najlepiej zaopatrzoną jest księgarnia „Domu Książki" przy ul. Piotrkowskiej 105. Radzimy ją odwiedzić.

DOM KSIĄŻKI

„Rozwój" — dziennik politvczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny, literacki, ilustrowany rocznik 1899 m-ce I — III. Nry — 16, 17, 19, 21, 23, 24, 25).

ZE SPRAW MIEJSKICH

Na posiedzeniu radnych m. Łodzi, według relacyj — prezydent W.I. Pieńkowskij powziął decyzję w sprawie budowy nowego ratusza, ażeby projektowany nowy gmach stanął na Nowym Rynku na dwóch placach, zajętych przez jatki miejskie. Place te położone z dwóch stron ulicy Średniej, będą połączone arkadą, pod którą przejeżdżać będą powozy.

Gmach szkoły rzemieślniczej będzie włączony do ratusza, po odpowiedniej przebudowie...

KONIEC ŚWIATA 13 LISTOPADA..

Od kilku już lat krążą wieści zapowiadające bliski koniec świata — na przełomie dwóch stuleci i na zamknięciu drugiego dziesiątka wieków! Uczeni astronomowie dowodzą jednak, że możemy spać spokojnie, że ujrzymy tylko wspaniały deszcz meteorów na widnokręgu... Oto w czasie między 13 a 14 listopada nastąpi spotkanie ziemi z kometą Bieli, ale skutki tego spotkania nie dotkną ziemi, co najwyżej samą kometę!

DO ODSTĄPIENIA WSPANIAŁE MIESZKANIE!

złożone z 7 pokoi ze wszelkimi wygodami, światłem elektrycznym i telefonem. Komorne 1200 rb rocznie. Mieszkanie może być odstąpione w całości lub częściowo, Zawadzka 5, II piętro.

KORKOWE DOMY W ŁODZI!

Korkowe sufity, korkowe ściany i korkowe bez szpar podłogi. Wytrzymują każde ciśnienie i są najhygieniczniejsze. Są dla każdego łatwo dostępne tu w Łodzi, w moim własnym domu i w każdej chwili do obejrzenia. Michał Rosicki. Dom własny na nowootworzonej ulicy między Główną a Pustą, wejście od Mikołajewskiej lub Widzewskiej przez posesyę Keilicha.

TELEGRAM ZAGRANICZNY

Z Londynu — 24 stycznia. Słychać, że zatarg o Samoę będzie w ZGODNY sposób zażegnany. Ameryka zabierze Papagopago, Anglia Upolu, Niemcy Savaii i Manuę...

MOJE CENY AKTUALNE CUKRU

Kostki	14 kop.
Mączki	13 kop.
Rąbany	$15^{1}/_{2}$ kop.
Na głowy	15 kop

w składach moich win, delikatesów oraz herbaty firmy Orłowa — róg ulic Piotrkowskiej i Dzielnej — M. Sprzączkowski.

OGŁOSZENIA DROBNE...

1) Lokaj żonaty, bezdzietny, mówi i pisze po polsku i niemiecku, żona uzdolniona za młodszą do dzieci, poszukuje obowiązku lokaja lub innego zajęcia. Oferty przyjmuje Działoszyńska w Łodzi.

2) Z powodu śmierci żony oddam jedno dziecko na własność, zdrowe, i ładne życzącym będzie się podobać, trzymiesięczne, imię Helena, ulica Aleksandrowska 48 m. 32 na Bałutach.

wybrał. **Zdzisław Konicki**

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Z. 1457 V. 1960 r. R-4

Najostrzejsze ołówki świata

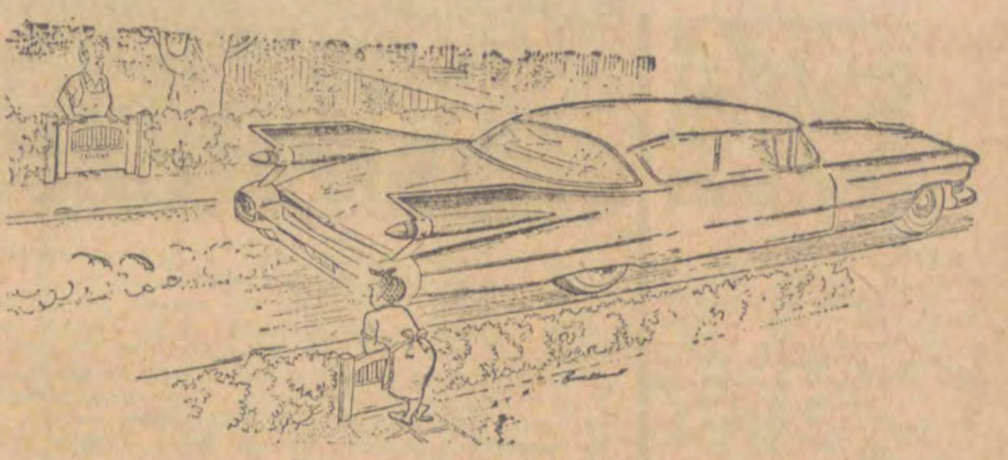

— *Zaraz, na czym to ja skończyłam?..*

RUFFEN BROCKBANK

Gdy piszemy te słowa — najświetniejsze angielskie pismo satyryczne — „Punch", liczy sobie już 6.940 wydanych numerów. Ukazuje się zaś sto dziewiętnaście lat! Bardzo niewiele istnieje pism na świecie, które mogły by się pochwalić taką długowiecznością... Najciekawsze jednak, że przez cały ten czas zaledwie 7 osób zajmowało fotel naczelnego redaktora „Puncha"! Oto rekord zupełnie niespotykany.

Ostatnim na liście redaktorów artystycznych jest Ruffen Brockbank, rysownik, dziennikarz — i zarazem świetny organizator. Jego to głównie zasługą było uratowanie leciwego pisma, któremu wbrew wszystkim zasługom groziła nagła likwidacja. Nie wiedzieć czemu, na początku lat pięćdziesiątych, nakład „Puncha" obniżył się nagle, a wydawcy — przedkładając oczywiście zyski finansowe nad tradycję wydawniczą — postanowili zawiesić wydawanie pisma. Tymczasem Brockbank przeprowadził w „Punchu" małą rewelację. Zaczął od strony tytułowej, niezmiennej od początku istnienia pisma. Zamiast klasycznej już winiety Brockbank wprowadził okładkę barwną, co tydzień inną. Lecz to najważniejsze — odnowił skład piszących i rysujących, którzy zaczęli uprawiać nowoczesne formy żartu — chętniej, niż dotychczasowi autorzy.

O dziwo, tak przywiązani do tradycji Anglicy aprobowali te zmiany. Nakład zaczął rosnąć, „Punch" został uratowany.

Jako rysownik — Brockbank współpracuje już ze swoim pismem blisko 20 lat. Ma jeden ulubiony temat, którego niemal nigdy nie zdradza — samochody, wszystko, co jest w jakiś sposób związane z automobilizmem.

(JERT)

Bez słów

KOLPORTER istota zbyteczna?

(Dokończenie ze str. 2)

teratury, zwiększyły wrażliwość. We wzajemnych stosunkach człowieka z książką moment przełomowy następuje wtedy, kiedy bierze on książkę do ręki po raz drugi. Dlatego biblioteka nie zastąpi kolportażu. Zresztą kolporter ma większe szanse dotarcia do „surowego" czytelnika, niż bibliotekarz. Z pewnością w mieście czytelnikami najtrudniejszymi do zdobycia są ludzie zatrudnieni w produkcji. I dlatego, chociaż kolportaż w innych środowiskach daje lepsze efekty, temu właśnie „trudnemu" czytelnikowi trzeba poświęcić najwięcej uwagi.

CZY Z KSIĄŻKĄ TRZEBA DOCIERAĆ DO WARSZTATU

Trudno na podstawie przykładu z ZPW im. Waryńskiego snuć daleko idące uogólnienia. Są zakłady przemysłowe, gdzie kolportaż rzeczywiście istnieje i daje pewne efekty. Do takich należą np. ZPB im. Armii Ludowej ZPB im. Mickiewicza, Zakłady im. Strzelczyka.

W wielu innych jednak i to nawet dużych zakładach (np. Gwardii Ludowej, Dzierżyńskiego) sytuacja nie wygląda najlepiej. Jakie są tego przyczyny?

Patronat nad kolporterami sprawuje „Dom Książki". W Łodzi są dwie rozdzielnie zaopatrujące kolporterów: na ul. Piotrkowskiej 149 i al. Kościuszki 39. „D. K." zawiera umowę z kolporterem na podstawie skierowania z rady zakładowej i oddaje mu książki w komis. Kolporter otrzymuje niewielką prowizję (10 proc.). Tak więc praca kolportera jest w zasadzie pracą społeczną i wymaga istnienia pobudzających go do działania bodźców. Pierwszym z nich jest niewątpliwie osobiste materialne zainteresowanie kolportera, drugim — docenianie jego roli przez radę zakładową i dyrekcję zakładu pracy.

Poziom zainteresowań i znajomości literatury u kolporterów okazuje się bardzo różny. Obok takich, którzy przez szereg lat z zamiłowaniem pełnią swą funkcję (pracownik jednej z instytucji nie przestał być kolporterem, mimo że został dyrektorem), są i tacy, którzy nie odznaczają się orientacją w literaturze i słabo znają teren, na którym pracują. Wyborem ich muszą wówczas kierować pracownicy „D. K." Często zdarza się, że kolporter wzdraga się przed wzięciem jakiejś książki, a potem okazuje się, że namówiony sprzedał ją bez większych trudności. Takie fakty świadczą o tym, że dobór kolporterów jest często dość przypadkowy. To jest niewątpliwie jedna z przyczyn złego kolportażu książki w naszym mieście. Druga — to obojętność albo niechęć ze strony rad zakładowych. Zdarza się często, że rada zakładowa poprzestaje na wybraniu kolportera i nie interesuje się jego dalszą działalnością, zaledwie go tolerując. Bywa też i gorzej — rady zakładowe po prostu utrudniają życie i działalność kolporterom.

Dlaczego? Czy rzeczywiście niektórym radom zakładowym zależy na tym, żeby ludzie nie kupowali książek? Otóż podobno akcja kolportażowa stanowi przeszkodę w pracy, gdyż kolporterzy właśnie w godzinach pracy lubią „grasować". Istotnie, starają się dotrzeć z książką do warsztatu, bo później ludzie zmęczeni i spieszący się do domu z pewnością nie zwrócą uwagi na wysiłki kolportera. Niektórzy twierdzą, że kolporterzy są zbyteczni, bo ludzie nie czytają. Przecież gdyby masowo czytali, kolporterzy byliby właśnie mniej potrzebni!

FIEDLER I MEISSNER GÓRĄ!

Najbardziej (obok oczywiście kryminałów) „idzie": polska literatura klasyczna: Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Kraszewski, nieco mniej Zapolska. Ze współczesnej? Meissner, Fiedler, potem długo, długo nic i Brandys oraz Iwaszkiewicz. Czy ilość książek sprzedanych drogą kolportażu rośnie, czy maleje? Wzrosły obroty (wraz z cenami książek), ale ilość egzemplarzy zmalała. Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż jeśli ktoś bez głębszego namysłu kupiłby książkę za 10 zł, nie kupi jej już za 20 zł.

Bardzo ważną rolę odgrywa na rynku „kolportażowym" zewnętrzna szata książki. Czasem zdarza się, że księgarnia posiada jednocześnie kilka wydań tej samej powieści. Wówczas z reguły tańsze i mniej efektowne zalegają magazyny, a droższe i ozdobniejsze idą jak woda. Podobnie oprawione cykle powieściowe znajdują również chętnych nabywców. Tak jest np. z cyklem historycznym Kraszewskiego, mimo dość wysokiej ceny za tom (30 zł).

Podobno wydawnictwa coraz częściej interesują się akcją kolportażową. Tak np. „Wiedza Powszechna" urządziła dla kolporterów konkurs na sprzedaż książek popularno-naukowych, dość niepopularnych wśród czytelników. Rezultaty były zupełnie zadowalające.

Wydaje mi się jednak, że inicjatywa naszych wydawnictw grzeszy wybitnym brakiem fantazji. Zupełnie jakby pamięć zaginęła o genialnym propagatorze literatury — Boyu. Tak! Jestem stanowczo za opaskami „Tylko dla dorosłych" czy czymś w tym rodzaju. Oczywiście tylko na dobrych książkach.

A GDYBY?

A gdyby zorganizować kolportaż „eksperymentalny" na razie w postaci imprez rozrywkowo-kulturalnych, połączonych z proklamowaniem i sprzedażą książek? Coś w rodzaju „rewii książek", tak jak organizuje się „rewie mody". A gdyby wzięli się do tego ludzie, mający coś wspólnego z literaturą? Na przykład studenci wydziałów humanistycznych lub... literaci? Myślę, że również Wydział Kultury powinien się zainteresować i pobudzić inicjatywę ewentualnych kolporterów?

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Okolica starszego kolegi

(Dokończenie ze str. 9)

ze strachem — że mnie zupełnie zatkało?

Tymczasem przemówił jednak Mazagrin.

— Biorę tu obecnych panów za świadków i oświadczam w imieniu swoim, panów sekundantów, rzecznika interesów strony przeciwnej i licznie zebranej publiczności, że klient mój zachował się pogodnie, splamił nowor szlachecki, pojedynek przegrał i musi być w szerokiej opinii napiętnowany jako homo infamis. Infamisowi nie przysługuje prawo przeprosin, a jego zarzuty nie mają żadnej mocy.

Szopen schwycił gitarę wszyscy otoczyli kołem świeżo upieczonego infamisa, który spoczywał bezwładnie na trawie i umierał. Rozległ się ponury, chóralny śpiew.

— Zmarł biedaczysko w szpitalu polowym,
Wczoraj był wesół i zdrów.
Czeka go pogrzeb z honorem wojskowym.
Czeka gotowy już grób...

Socjalista załadował flower i wypalił trzykrotnie w powietrze. Uczestnicy symbolicznego pogrzebu zdjęli czapki, złożyli ręce do modlitwy i przyklękli wokół Buczackiego. Młody dziedzic zdawał się tym razem umierać naprawdę. Sztywniał wyraźnie, czy wlepił, w dalekie zaświaty, jeszcze tylko rumieńce na twarzy mówiły że żyje. Miazga dał znak, rozległ się znowu śpiew, tym jednak razem, był to śpiew wesoły jak oberek.

W mogile ciemnej śpij na wieki,
Usia siusia, usia siusia,
Odszedłeś od nas w kraj daleki
Usia siusia, usia siusia!

— Popamiętacie mnie jeszcze — zasyczał nagle umierający — popamiętacie jeszcze Buczackiego, ja wam to mówię!

Niedoszły trup zerwał się zwinnie z ziemi i pobiegł w stronę domu ojców żegnany śmiechem i drwinami.

— Jakże uroczą istotą jest człowiek, jeżeli jest człowiekiem, powiedział Meander — Chorwat zabrał się do pakowania apteczki.

— No i po krzyku — Lutowiecki strzepywał pięknymi rękawiczkami jakieś niewidoczne pyłki z mundurka — mam szczególny zaszczyt prosić panów do restauracji nad rzekę.

— To bardzo piękna idea — zgodził się Miazga, i jak stoimy, koledzy, z mamoną?

— Ludzie inteligentni i dobrze wychowani nie mówią o rzeczach, które rozumieją się same przez się... przecież to ja zapraszam — wicewojewodzie skłonił się szarmancko uczestnikom i widzom wielkiego pojedynku

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

odgłosy str. 11

EKRANIK

NARESZCIE POZNAMY komisarza Maigreta, bohatera wielu powieści kryminalnych francuskiego pisarza, Georges Simenona. Zakupiony został i wejdzie na polskie ekrany film „Pułapka", o jednej z przygód popularnego detektywa. Chodzi tu o wykrycie tajemniczego mordercy samotnych kobiet.

Nie jest to pierwsza adaptacja z twórczości Simenona, różni realizatorzy brali na warsztat różne jego książki. Podobno jednak — jak twierdzi krytyka francuska — „Pułapka" w reżyserii Jean Dellanoy'a jest adaptacją najbardziej udaną. W roli Maigreta występuje tym razem Jean Gabin, ponoć również najlepszy z dotychczasowych odtwórców tej postaci.

O „BIAŁYCH NOCACH" — interesującym filmie Iwana Pyriewa — pisaliśmy już w poprzednim numerze. Niestety, nie zmieściło nam się wtedy zdjęcie utalentowanego odtwórcy roli Marzyciela — Olega Striżenowa. A więc — oto foto:

DANIELLE DARRIEUX należy dziś do najwybitniejszych aktorek francuskich — jeśli nie europejskich. Tak się składa, że w niedługim czasie zobaczymy na polskich ekranach aż dwa filmy z jej udziałem.

„Madame de..." (reżyser — Max Ophüls), film francusko-włoski — opowiada dramatyczną historię kolczyków, które dostojna dama sprzedaje w tajemnicy przed mężem znajomemu jubilerowi — aby pokryć niespodziewane wydatki. Ale jubiler okazuje się niedyskretny... Świetny, precyzyjnie skonstruowany film, wyrastający z klimatu opowiadań Maupassanta. Obok Danielle Darrieux — grają tu takie sławy, jak Charles Boyer i Vittorio de Sica. Przepowiadamy „Madame de..." ogromny sukces kasowy.

W zupełnie inny klimat wprowadza nas „Siódme niebo". Tu De-De gra powabną wdówkę, która dla zdobycia funduszów na kolejne przedsięwzięcie filantropijne (żłobek w miasteczku, szpital dla Murzynków...) — morduje cichcem zamożnych konkurentów do swej ręki... Co ciekawsze, „Siódme niebo" jest komedią (bardzo zabawną, wierzcie nam na słowo!).

DONALD

Mylene Demongeot

Pierwsza dla „MIESZANKI" korespondencja paryska WŁODZIMIERZA KRYSIŃSKIEGO:

„NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI"

„Niebezpieczne związki 1960" — akt oskarżenia czy igraszki ciała? Ten film obejrzałem w Paryżu w wykwintnym kinie na Buolevard des Italiens. Starsze panie, obrażone śmiałością obrazu opuszczają salę już po pierwszej scenie z gatunku tzw. śmiałych. Jeżeli skandal obyczajowy wytworzony wokół tego filmu ma jakiekolwiek uzasadnienie, to chyba tylko to, że pruderia mieszczańska wystawiona jest tutaj na dość istotną próbę z racji na specyficzną fabułę „Niebezpieczn .h Związków".

W stosunku do książki Laclos'a film ten jest modyfikacją dość zasadniczą. Jest w gruncie rzeczy bardzo nowoczesny kwituje sprawy ludzi współczesnych, posługuje się wreszcie nowoczesnymi środkami wyrazu i dialogiem paryskich snobów i bogaczy.

Vadim zastrzega z góry, że film będzie niemoralny. To sformułowanie nie ma zresztą specjalnego tutaj sensu. Jest to film o niemoralności, z nieszczęśliwym zakończeniem, urastającym do rangi morału. Powstaje więc problem czy film o niemoralności może być filmem niemoralnym, jeżeli jego tendencja końcowa, jak myślę, ma sens moralnie pozytywny.

Fabuła „Niebezpiecznych związków" zakłada z góry pewien hazard, umowne, rozliczne przygody paryskiego Don Juana (Gerard Philippe) lat sześćdziesiątych naszego wieku, zamieszkującego w wykwintnej dzielnicy, częściowo już znudzonego — nie byle jaką przecież — swoją żoną.

Miłość istnieje dopóty, dopóki obie strony znajdują jeszcze jakieś punkty wspólnego zainteresowania. Sprawdza się to znakomicie na postępowaniu Valmonta, który zmienia kobiety tak często co najmniej, jak podróżny w epoce Baleuka zmuszony był zmieniać rękawiczki. Ale sprawa jest tutaj bardziej skomplikowana. Jego piękna żona sankcjonuje te przygody, wiedząc że w przeciwnym razie straciłaby atrakcyjnego kochanka czyli męża. Sama zresztą choć w mniejszym stopniu, nie pozostaje mu dłużna. Cała ta igraszka kończy się przypadkowo śmiercią Valmonta, k..ego uderza w paroksyzmie zazdrości młody chłopak. Pani Valmont, paląc listy zmarłego, będące swoistym corpus delicti wyrafinowanego postępowania jej męża, parzy dotkliwie swoją twarz. Film kończy się właśnie obrazem jej poparzonej twarzy. Narrator głosi, że ta twarz jest wizerunkiem jej duszy.

Przychodzi refleksja. Kim jest Valmont? Kim jest jego żona? Kim są ci ludzie? Gdzie szlachetne sentymenty Tristana i Izoldy? Jakież to społeczeństwo rodzi taką perwersję?

Pytania można mnożyć. Pod tym względem „Niebezpieczne związki" zdają się stanowić akt oskarżenia przeciw nowoczesnemu społeczeństwu, powiedzmy ściślej — przeciw pewnym grupom tego społeczeństwa.

Trudno ten film oglądać w waskim wymiarze jego fabuły. Wnioski natury ogólniejszej narzucają się po jego obejrzeniu. Mówienie o potrzebie ideału byłoby tutaj chyba czymś śmiesznym, choć potrzeba takowego narzuca się w sposób oczywisty. Ideały Valmontów są przecież czymś aż nadto widocznym. Czy mogą to być ideały do przyjęcia? Są w każdym razie praktykowane. To już coś znaczy. Znamienne zakończenie filmu zdaje się wskazywać, że jego twórca tej praktyki nie pochwala.

Skądinąd warto zaznaczyć, że to przedostatni film niedawno zmarłego G. Philippe'a, świetna jest G. Moreau w roli pani Valmont, że śliczna, choć nienadzwyczajnie grająca jest żona reżysera filmu — Anette Vadim oraz że filmu tego w Polsce nie zobaczymy. Władze francuskie wydały zakaz eksportu „Niebezpiecznych związków".

DWUGŁOS O FILMIE

„KRZYK"

I

Bohater filmu reżyserii Antonioniego, zawiedziony w miłości, nie może się od niej wyzwolić; ma jednak wszelkie szanse stworzenia nowej egzystencji. Miłość traktowana tu jako fatum — uniemożliwia mu zajęcie się dzieckiem i sobą. Ta bierność bohatera prowadzi go w sytuację bez wyjścia. Nasuwa się pytanie — czy rzeczywiście „bez wyjścia", czy tylko śmierć mogła rozwiązać konflikt Aldo z samym sobą? Na pewno nie. Z drugiej jednak strony szczęśliwe zakończenie filmu nie miałoby celu — zniknęłaby owa bierność bohatera, którą twórcy filmu potępiają. Losy jednostki posłużyły im do ukazania zgubnej postawy nonkonformisty, postawy wyraźnie tu potępionej.

Historię Aldo reż. Antonioni rozegrał na tle realistycznego obrazu włoskiej prowincji nad Padem. Dla oddania nastroju osamotnienia realizatorzy sięgnęli po wypróbowane już, ale niezawodne w swojej ekspresji jesienne pejzaże zamglonej doliny Padu. Bardzo skutecznie też wprowadzono ilustrację muzyczną (melodia na fortepianie). Narracji nie cechuje ani szybkie tempo, ani błyskotliwość i zwartość fabuły. Opowieść składa się z kilku epizodów łączonych postacią głównego bohatera.

„Krzyk" jest poważnym sukcesem artystycznym amerykańskiego aktora Steve Cochrana, który stworzył postać bardzo złożoną psychicznie. Jego styl interpretacji roli wyróżnia się skupioną grą twarzy, oszczędnością gestu.

W sumie jest to film interesujący tak ze względu na ukazanie pewnej postawy życiowej, jak i na walory formalne — dobrą reżyserię, niezłe kreacje aktorskie i ciekawe zdjęcia.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

II

Jest w „Krzyku" Antonioniego niedobry nastrój beznadziejności, podkreślany pustym, ponurym pejzażem, mgłą, deszczem — a więc niezbyt wyszukanymi wyświechtanymi już elementami scenerii. Jest tu dużo udziwniania.

Całość okazuje się w ostatecznym kształcie banalnym melodramatem, utrzymanym w tonacji „egzystencjalistyczno-neorealistycznej". Na dodatek jest to film nudny.

Wydaje mi się — brak w nim jakiegoś istotniejszego konfliktu, albo nawet brak konfliktu w ogóle. Oczywiście, bohatera filmu, Aldo, porzuciła — nazwijmy ją umownie — żona i następuje krach psychiczny. Ale to tylko punkt wyjścia, główne dane o sytuacji psychicznej bohatera. Potem już nic się w filmie nie dzieje. Przynajmniej w sferze zagadnień wewnętrznych. Bo Aldo jeździ z miejsca na miejsce, próbuje pracować, ma kochanki... Jest więc kilka większych epizodów — lepszych (na stacji benzynowej) i gorszych (z ostatnią dziewczyną). Ale epizody te nie rozwijają sylwetki bohatera, nie poszerzają i nie pogłębiają naszej wiedzy o nim, a wszystkie razem w filmie niewiele znaczą.

W końcu nie bardzo rozumiemy, dlaczego dochodzi do finałowej sceny. Albo też rozumiemy — i dziwimy się, dlaczego ta scena nie nastąpiła wcześniej, zaraz po tym, kiedy żona porzuciła Aldo. A w ogóle — dlaczego przez dwie i pół godziny zawracano nam głowę?

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

do redaktora mieszanki

...Omówiliście w kwietniu na łamach „Mieszanki" szereg filmów lepszych i gorszych a świetny „Krzyk" produkcji włoskiej — nie doczekał się nawet wzmianki... A może nawet trzeba było wytypować tę znakomitą pozycję jako „film miesiąca"? (H. J. — Łódź)

Etykietę „film miesiąca" otrzymały w kwietniu dwa tytuły: „Mój wujaszek" i „Zezowate szczęście".

W ubiegłym miesiącu „wybitne bez zastrzeżeń" — wydały nam się dwa wspomniane filmy. „Krzyk", choć dzieło niewątpliwie interesujące, jest jednak pozycją, na pewno dyskusyjną. Na tej samej stronie drukujemy właśnie dwugłos na temat „Krzyku".

RED.